

Maria Magdalena Człapińska



Światłość i ciemność

Gazeta Kulturalna

ISSN 1734-3240

Miesięcznik Rok XXXI Nr 9(361) Żelów, wrzesień 2026

Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka

W numerze:

Wiersze: Anny Andrych, Andrzeja Dębrowskiego, Eligiusza Dymowskiego, Bernarda Łacha, Pawła Soroki, Ryszarda Wasilewskiego, Adama Bolesława Wierzbickiego

Andrzej Dębrowski – *Ludzie, po których zostają góry*

prof. Maria Szyszkowska – *Filozofia codzienności* (239)

Stefan Jurkowski – *Umierają Przyjaciele*

Joanna Friedrich – *Viva l'arte*

Andrzej Walter – *Kolejka za Wierzbickim*

Mirosław Osowski – *Moja walka z rakiem* (84)

Adam Lizakowski – *Czy poeta Czesław Miłosz był kosmitą?* (14)

Mirosław G. Majewski – *Buszujący w antykwariatach* (15)

Szymon Koprowski – *O naturze Żelowa, Andrzeja Dębrowskiego i naturze słowa*

Tadeusz Zawadowski – *Poetyckie wybory Izabeli Iwańczuk*

Agnieszka Rykowska – *Szukała tego mężczyzny...*

Rafał Nowocień – *Miedzy fotografią a metaforą*

Jerzy Fryckowski – *I Konkurs Poetycki im. Małgorzaty Hillar*

Grażyna Danuta Drobnicka – *Świadectwo działalności bandy UPA*

Anna Andrych – *Benefis Jerzego Grupińskiego*

Maciej Zarębski – *W śląskim Davos*

Kazimiera Szczukutowicz – *Dzwony słów nie tylko na Anioł Pański*

Witryna

Opinie

Noty

Poglądy

Informacje

Kronika

Konkursy

Szkie

Eseje

Publicystyka

Felietony

Krytyka

Filozofia



Z cyklu: Pejzaże Polski

Fot. © Andrzej Dębrowski

Konkursy

Kiedy gasną dwa światła



Fot. Wikipedia

Bywają takie odejścia, które trudno zamknąć w kilku zdaniach, bo wraz z człowiekiem znika nie tylko jego głos, twarz czy nazwisko, lecz także pewien fragment świata, którego już nikt nie odtworzy. Tak jest w przypadku **Joanny Rawik** i **Jana Frycza** – dwojga artystów należących do różnych pokoleń i reprezentujących różne dziedziny sztuki, a jednak połączonych tym, co w sztuce najważniejsze: prawdą, talentem i umiejętnością pozostawienia po sobie śladu w ludzkiej pamięci.

Joanna Rawik miała głos, który nie służył wyłącznie do śpiewania. W jej interpretacjach zawsze było coś więcej – doświadczenie, emocja, melancholia, czasem ból, ale także niezwykła siła. Potrafiła sprawić, że piosenka stawała się opowieścią o człowieku, jego tęsknotach, miłości, samotności i przemijaniu. Była artystką osobną, rozpoznawalną od pierwszego dźwięku, a zarazem osobowością, której nie dało się sprowadzić tylko do estrady. Jej obecność w polskiej kulturze była znacznie szersza – była aktorką, dziennikarką, autorką i świadkiem swojej epoki.

Jan Frycz z kolei należał do aktorów, których nie trzeba było przedstawiać. Wystarczała chwila na ekranie albo scena teatralna, by jego charakterystyczna twarz, głos i sposób budowania postaci przykuwały uwagę. Potrafił grać ludzi mocnych i bezradnych, szlachetnych i pogubionych, tych, którzy mówią wiele, i tych, których najważniejsze słowa pozostają niewypowiedziane. Jego aktorstwo miało w sobie rzadką umiejętność budowania napięcia bez przesady i bez taniego efektu. Był aktorem, który ufał tekstowi, postaci i inteligencji widza. Dziś oboje spotykają się w naszej pamięci w szczególny sposób.

Odeszli artyści, ale nie odeszły ich głosy. W niezniknęły nagrania, role, spektakle, rozmowy, obrazy i emocje, które pozostawili. Sztuka ma bowiem tę niezwykłą właściwość, że potrafi oszukać czas.

Człowiek odchodzi, ale jego głos może zabrzmieć ponownie po wielu latach, aktor może znów pojawić się na ekranie, a piosenka może nagle otworzyć drzwi do wspomnienia, o którym wydawało nam się, że już dawno zostało zamknięte.

Joanna Rawik i Jan Frycz zostawili po sobie właśnie takie drzwi. Możemy je jeszcze otwierać. Możemy wracać do ich artystycznych dokonań, słuchać, oglądać, przypominać sobie i odkrywać na nowo. I może właśnie w tym kryje się najpiękniejszy sens pożegnania artysty – że nie jest ono ostateczne. Dopóki bowiem trwa pamięć odbiorców, dopóty trwa także jego obecność. Gasną światła sceny, milkną głosy, pustoszą garderoby. Zostaje cisza. Ale po tej ciszy przychodzi chwila, kiedy z głośnika znów odzywa się znajomy głos, a na ekranie pojawia się znajoma twarz.

I wtedy rozumiemy, że artyści naprawdę odchodzą dopiero wtedy, gdy przestajemy ich pamiętać. Joanno, Janie – dziękujemy za to, że byliście. I za to, że dzięki swojej sztuce wciąż jeszcze jesteście.

[ad]

Zmarł Jarosław Abramow-Newerly – pisarz, dramaturg i kompozytor

9 sierpnia, w wieku 93 lat, zmarł **Jarosław Abramow-Newerly** – pisarz, dramaturg, autor wspomnień, tekstów piosenek i kompozytor, jedna z ważnych postaci polskiej kultury powojennej.

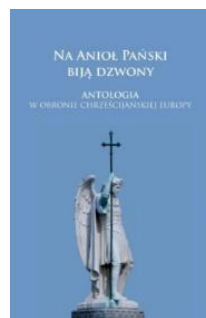
Abramow-Newerly urodził się 17 maja 1933 roku w Warszawie. Był synem pisarza Igora Newerlego i Barbary Abramow, nauczycielki i aktorki związanej przed wojną z teatrem „Baj”. Jego rodzinne losy spletały się z niezwykłą historią Warszawy i polskiej inteligencji. Barbara Abramow jako dziecko trafiła do „Domu Sierot” Janusza Korczaka przy ulicy Krochmalnej, gdzie później poznała Igora Newerlego, współpracownika Korczaka i redaktora „Małego Przeglądu”.

Doświadczenia wojennego dzieciństwa Abramow-Newerly utrwalił w książce „Lwy mojego podwórka” (2000), przedstawiającej okupacyjną Warszawę z perspektywy chłopca obserwującego świat dorosłych. Po upadku Powstania Warszawskiego wraz z matką został wywieziony do obozu w Pruszkowie, a następnie przebywał pod Krakowem i w Wodzisławiu. Pierwsze lata powojenne opisał w tomie „Lwy wyzwolone” (2003).

Był również autorem sztuk teatralnych, słuchowisk, książek i piosenek. Współpracował z Agnieszką Osiecką, komponując m.in. muzykę do słynnej „Piosenki o okularnikach”. W późniejszych latach dzielił życie między Polskę i Kanadę, której doświadczenia znalazły odbicie m.in. w książce „Pan Zdzich w Kanadzie”.

Pozostawił po sobie dorobek wyrastający z pamięci, historii i osobistego doświadczenia, a zarazem pełen charakterystycznego poczucia humoru, obserwacji obyczajowej i niezwykłego przywiązania do ludzi oraz miejsc, które kształtowały jego życie. Jego odejście zamyka ważny rozdział polskiej literatury, teatru i piosenki XX wieku.

Dzwony słów nie tylko na Anioł Pański



Antologia „Na Anioł Pański biją dzwony” to okruszki polskiej i węgierskiej kultury. Jest to westchnienie w kierunku Stwórcy – siły nadprzyrodzonej.

Kulturalne i moralne wartości chrześcijańskie są ogromnie ważne nie tylko

dla europejskiej kultury, ale dla kultury całego świata. Świat się „kurczy” i sprawy międzyludzkie tworzą spoinę człowieczeństwa w wymiarze globalnym. Niezwykły horyzont ludzkich myśli z sercem poetyckim, to filar literackiej tożsamości. Każdy wiersz jest drogą do głębszego zrozumienia świata.

Zbiór utworów 64 autorów polskich i 46 autorów węgierskich można nazwać świadectwem dojrzałości artystycznej, która obejmuje człowieka w znaczeniu „ludzkość”. Wiersze autorów antologii są słownymi dzwonami, które biją w rytmie serc Węgrów i Polaków. Można je również przyrównać do białej flagi furkoczącej na wietrze Europy. To bezgłośnie wołania:

„krztuszą się kurzem” wojennym, ocierają o przydrożną krzyżę,
„z okrucieństwem nadziei do wiary prawdziwej”,
„między krzyżem a milczeniem”,
„z kroplą słowa”,
„w horyzont zapatrzeni błędzą wierszokleci”,
„w sercu człowieka wyrosła maczuga”, „wóz życia potoczył się we krwi”,
„znowu matka zamordowała dziecko, a syn zakatował ojca”,
„Przeraża mnie ospałość ludzkich serc”.

Powyższe cytaty mówią o nastrojowości tego, wyjątkowego dzieła. Wiele utworów to modlitwy, błagania, wołanie do Stwórcy o pomoc, litość, a także skrucha, pokora i wiara, że Bóg wie co robi.

Dzwony SŁÓW nie tylko NA ANIOŁ PAŃSKI, to bezgłośnie krzyk, ale czy dotrze do właściwego adresata? Czy kiedykolwiek zaistnieje lepszy świat?

Od zaranian dzieł zmagają się dobro ze złem, a owocem tych zmagających jest cierpienie.

Człowiek człowiekowi potrafi zgotować to, co jest nieludzkie.

Kazimiera Szczykutowicz

„Na Anioł Pański biją dzwony. W obronie chrześcijańskiej Europy”. Redakcja: Konrad Sutarski, Alicja Patey-Grabowska, Anna Zielińska-Brudek, Antal Jenő, ks. Stanisław Radziszewski. Autor wstępu: bp Michał Janocha. Wydawnictwo Compus 2025.



Andrzej Walter

Kolejka za Wierzbickim

Właściwie ów tekst powinienem zatytułować „W kolejce po rozum”, ale to akurat jedna i jedyna z kolejek, która z pewnością trafiła dziś do lamusa. Kolejki mamy dziś bowiem przeróżne, ale jedynie rozum mało komu jest potrzebny.

Dawno już nie czytałem wierszy, które tak mocno by wstrząsnęły moją wrażliwością poetycko-językową. Wiedziałem, że **Adam Wierzbicki** to znakomity młody polski poeta, wiedziałem, że to arcyciekawcy i inspirujący twórca, tudzież i człowiek, że nowatorski, że indywidualny i że z własnym poetyckim polem, językiem oraz przekazem, ale „Kolejki Polskie” przerosły moje stabilne, utarte wyobrażenia, przekroczyły Rubikon schematu i sztampy, wstrząsnęły wspomnieniami, diagnozami oraz jakąś utartą wizją PRL-u, czyli jednym słowem naszej młodości – durnej i chmurnej, której wykwyty towarzyszą nam do dziś zwłaszcza w ciągłe żywych problemach i dylematach społecznych.

Świat się zmienił, mentalność i przywary społeczne pozostały jednak bez zmian. Głupota z arogancją święcą triumfy i w tej optyce „Kolejki Polskie” wraz z kompleksami, grzechami i plamami na sumieniach idą z nami dziarsko przez ten świat i Adam Wierzbicki uczynił coś (arcy)genialnego tymi swoimi tekstami: wskrzesił przeszłość, miętową i sentymentalną łącząc ją z tym, co oglądamy za oknem i z tym, czego oczekujemy po jutrze, a może nawet nie oczekujemy, bo „stara bida” pójdzie z nami, a mówiąc „stara bida” widzę naszą nędzę intelektualno-duchową i człowieczą.

„Kolejki Polskie” to wiwsekacja Polski jaką znam. Polski kontrastu, Polski wrzasków i krzyków, Polski prymitywnej głupoty i jednocześnie buty małomiasteczkowego chama, który niczym znany literacki Dykma został wpuszczony tu i tam i odważa popelić swojego buraczanego mentalu. Jednak u Wierzbickiego to ledwie margines, to pewne socjologiczne tło, ledwo co zaanonsowane, czasami wręcz zamaskowane, ale jednak.

U Wierzbickiego więcej jest poezji. Sumy wrażliwości nad kiepskim losem biedniejszego, pochylenie się nad słabszym, wykluczonym, wyautowanym obywatelem X, efektem tej wzorcowej (ironicznie) transformacji guru ekonomii i układów. U Wierzbickiego jest liryka i subtelność zamiast krzyku i buntu. Bunt się ustatedźnił i Wierzbicki stworzył jedno z najważniejszych wierszy jakie w tym kraju napisano po roku 1989, po sławetnym 4 czerwca kiedy ponoć... wygraliśmy (wolną Polskę?). Wolną (z nazwy), ale wciąż w kolejce po niezależność. Oto „Kolejki Polskie”. Bezbolesne, bezlustracyjne, bezwzględne.

Kolejka po przyszłość

*Kolejka po leki w szpitalu psychiatrycznym
oczekuje
zmian na lepsze dni nadchodzące.*

*Zmniejszenia dawki
psychotropowych witaminek. Marzy, że
rozwiążą się jej*

*życiowe problemy i dolegliwości, choć zdaje
sobie sprawę,
że nie można już cofnąć czasu. Wierzy w lepsze
jutro, lepsze
jedzenie w szpitalu i lepszą służbę zdrowia.*
Wyczekuje

*wyjścia na terapię, spacer, przepustkę
i wytęsknioną
wolność.*

Nie jest tak źle, ale ta poezja ma nas sprowokować. Warto stać ciągle w kolejce po wytęsknioną wolność, po nieznośną lekkość bytu, po utracony czas. Warto dać się sprowokować Wierzbickiemu tymi „Kolejkami Polskimi”, bo to poezja bytu i myślenia, to poezja empatii i wiary i wreszcie poezja godności i... Polski. Naszej Polski. Tej jaką znamy naprawdę, a nie tę z medialnego złudzenia czy reklamowych debilizmów.

Kolejka po frajerstwo

Dawidowi Z. i Sebastianowi K.

*Kolejka w przychodni szpitala wojskowego,
gdzie krew pobierają, cierpliwie czeka, by to,
co najcenniejsze, oddać
Ojczyźnie, jak robili to jej ojcowie, dziadkowie
i ich antenaci,*

*co swą krew ocaloną za darmo oddawali każdemu,
kto z armią połączyć ich zechciał, jak
śpiewał ongiś
nieodżałowany bard Solidarności. I tylko
szkoda wielka,*

*że współcześni szwależerowie, podobnie jak ich
przodkowie spod Somosierry, swej cennej krwi
nie przelewają w obronie rodzin,*

tylko obcych interesów.

Nie wchodzimy w politykę. Polityka to brud. Polityka w Polsce to do tego jeszcze pochód chama, tego słynnego polskiego chama z Wesela zmieszanego z chamek ukształtowanym 45 latami PRL-u. Mieszanka efemerydalna i kabaretowa. Tu nie idzie jednak o politykę, tutaj ocieramy się o mentalność, o motywację, o sumienia. O dekonstrukcję pewnych wartości, które były naszą narodową podstawą przetrwania i działania, a dziś sztur-

mem feministycznych imperatywów tudzież współczesnych postępowych idei zostały te wartości przeniesione do zamrażarki dziejów. Rosną nam pokolenia wymoczkowatych, prymitywnych indywiduów, słabeuszy i pustych wiedzowo monstrów skoncentrowanych li tylko na sobie i własnej przyjemności. Psychologiczne credo *rób sobie dobrze* stało się zasadą, religią, bogiem. Wyznacza więc ochoczo: zasady, trendy i ustala jedynie poprawne reguły gry. Ja, ja, ja, słyszę zewsząd, od młodych i starych, od wielkich i małych, od mądrych i głupich, i dochodzę do wniosku, że całe to społeczeństwo toczy dziś jakiś śmiertelny nieuleczalny już choroba, jakiś nowotwór ponowoczesności, jakiś wręcz trąd zidiocenia w połączeniu z pączkującą stale ignorancją rodzącą arogancję i przerażającą w wydźwięku butą wobec bliźniego. Dotykamy i doświadczamy tego wszędzie i codziennie. Na każdym niemal kroku. Dzień po dniu. (Politycy są tutaj papierkiem lakmusowym, pewnym wzorcem, czy odwzorowaniem nas samych – zwierciadłem społecznym).

Oto Polskie Kolejki – kolejki pełne czekania na Godota – kolejki pełne snów, opijanych tanim alkoholem, w kontraście do (z Kolejki po nieśmiałość)

*patrzac na zagrzybiony sufit pamiętajacej
czaszy Gierka stołówki. A w tym czasie, gdzieś w
luksusowym apartamencie*

*nad Adriatykiem, opalony na złoto trzydziestolatek,
patrzac w ekran monitora, liczy krociowe
zyski, które przynoszą górnicze pensjonaty kupione za
symboliczną złotówkę przez jego ojca*

w czasach, gdy komuna upadała na cztery łapy.

Komuny już nie ma. My żyjemy. Żyliśmy w niej całe pokolenie. Teraz mamy postępowy turbo kapitalizm. Ustrój dla młodych, pięknych i bogatych.

Reszta won. I każdy z tych wymoczków chce się załapać do korytek. Nie każdemu się uda, nie każdy będzie miał dobrze ustawioną mamusię albo ustosunkowanego resortowego tatusia. To się dzieje na naszych oczach i w świetle reflektorów, tyle że nad przyczynowo skutkowym następstwem wydarzeń już mało kto się zastanawia, bowiem żyjemy w świecie prostych prawd i naiwnych emocji. Demiurdzy istnienia określili kto ma być na górze, a kto na dole.

Reszta to kolejki. Kolejki po sławę, kolejki po nagrodę, kolejki po gratyfikację. Oto kolejki polskie. Kolejki po prawo do istnienia. Kolejka po układy.

(Dokończenie na stronie 4)

Kolejka za Wierzbickim

(Dokończenie ze strony 3)

Dziś szczerze mówiąc, po „Kolejkach Polskich” powinniśmy się ustawić... w kolejce za Wierzbickim, może jakaś część Jego słów i nas ocali.

I staniemy też w... Kolejkę po pamiętkę:

*Kolejka po wpis w tomiku lokalnego poety
gdzie w
prowincjonalnej bibliotece udaje
zainteresowanie jego
życiem i twórczością oraz kulturą wysokich
lotów. Zachwyca*

*się lotnością metafor i porównań. Wspomina
edukację autora (polonistki), wspólne wakacje
(kuzynostwo), to, że bratem niekiedy był wred-
nym (rodzeństwo), a synem niegrzecznym*

*i niepokornym i pomimo że do nauki się nie
przykładał, zawsze przechodził z klasy do klasy
z nagrodami (rodzice), ale popić i narozrabiać
także potrafił (koledzy nie po piórze,*

*lecz od zadym i kielicha). Większość podpisa-
nych egzemplarzy trafi nieprzeczytana na ho-
norową półkę w domowych biblioteczkach,
gdzie po kilku latach zbierze się na nich gruba*

warstwa kurzu.

I to już ostatnia nasza opisywana tutaj „kolejka”. Po warstwie kurzu nastąpi śmietnik, potem przemiał. Tyle będzie warta cała ta nasza poezja. Poezja kompletnie niepotrzebna współczesnemu społeczeństwu. Poezja niezrozumiała, zbyt trudna, poezja – coś staromodnego i straconego dla współczesnego człowieka. Poezja, którą się ruguje: ze szkół, z bibliotek, z wiadomości, z doniesień, z potrzeb, z jakiegokolwiek przestrzeni publicznej. Poezja zaczyna być dla mięczaków, a kóż chciałby takim zostać? Najpierw z pisarza uczyniono efemerydę, a później z poezji uczyniono szrot. Amen.

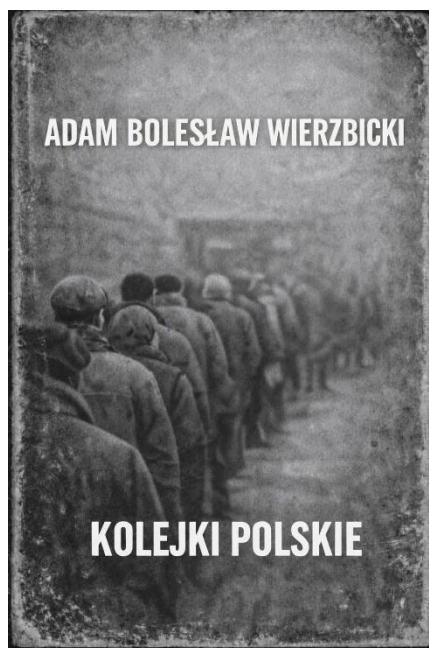
Najsmutniejsze jest jeszcze to, że my, poeci, nie chcemy i nie potrafimy poezji bronić. Zamykamy się we własnych grupkach i enklawach, żremy ze sobą i podkładamy sobie nogi, zadawaliśmy się ersatzem pustych sal, w których czytamy wiersze dla innych poetów (i, o zgrozo, chce nam się to czynić pomimo że to takie żałosne). Publicznie, kiedy są z nami ludzie spoza środowiska – milczymy. Wtedy mało kto się odezwie, a zwłaszcza w obronie poezji. Wtedy nabieramy wody w usta, albo wygłaszamy wobec tych ludzi okragłe formułki, gładkie wypowiedzi, aby nikomu nie zaszkodzić, aby nikogo nie urazić, aby nic się nie zmieniło. Ot, taki koniunkturalizm sytych, zwłaszcza, że jeden z drugim niczego nieczytający burmistrz czy wójt jak coś powiemy nie za bardzo, to nie da tych ochłapów na festiwal poezji. Koń by się uśmieł. Dlatego też ja rzę już

niemal codziennie i oddalam się od tej: głupoty, hucpy i żenady. Idźcie dalej tą (swoją) drogą. Ustawcie się w kolejce po dotację na kulturę, na szmire, na ułudę i ucieśście kolegów zaproszeniem na popijawę za państwowe. Po niej powstaną może lepsze wiersze (oby). Odczytacie je sobie nawzajem, będzie orgazm, wydarzą się *Ogóry Literatury* i każdy grzecznie pójdzie do domu, a społeczeństwo jak zapragnie rozrywki to kupi sobie kryminał w Biedronie.

Sursum corda.

Pozostanie po nas kurz, przemiał i niebyt. Ot, taka wizja losu dzisiejszego poety, który stanął kiedyś tam w kolejce po nieskończoność, która również przestała być dziś komukolwiek potrzebna.

Andrzej Walter



Adam Bolesław Wierzbicki

Kolejka po lenistwo

Kolejka do wyciągu na Kasprowy Wierch
w Zakopanem w
sierpniowe południe narzeka na upał,
stagnację w rozwoju
turystycznej infrastruktury i zalew turystów
korzystających

z pieniędzy otrzymywanych z programu
osiemset plus. Przez
dwie godziny kumuluje na biodrach
i brzuchach toksycznych
tłuszcz wchłaniany wraz z obfitymi
pośilkami serwowanymi

w McDonald's i KFC. Przecierając spoczone
czoło, spogląda

na wymarzony szczyt, którego zdobyciem
pochwali się po
powrocie z urlopu. Nie omieszka przy tym
dodać, ile ją to

kosztowało wysiłku i cierpliwości.

Kolejka po cierpliwość

Kolejka pod szczytem Babiej Góry przed
łańcuchami na
Akademickiej Perci w październikową
słoneczną sobotę
cierpliwie czeka, spoglądając w słońce. Wie,
że do celu już

coraz bliżej i do zmroku zdąży zejść w doliny
zaluźnione.
Jednak zawsze znajdzie się w niej ktoś, komu
się bardzo
spiesz. Ktoś, kto pomylił ogonki, wyprzedza
na łańcuchach.

Może nie zdaje sobie sprawy, że właśnie
przesuwa się w
kolejce po kalectwo.

Kolejka po lans

Kolejka w szczycie sezonu przed tabliczką
oznaczającą
znany komercyjny wierzchołek ustawia
smartfony. Myśli o
pozie. Starannie formuje rozwiązana przez
wiatr fryzurę.

W małym lusterku przymierza uśmiech
i poprawia
makijaż. W myślach liczy komentarze pod
zdjęciem,
które za chwilę zamieści na jednym ze
społecznościowych

portali.

Kolejka po zapomnienie

Kolejka do sklepu z wyszynkiem oferującym
tanie
alkohole próbuje zapomnieć o żonie, którą
ciągle boli
głowa, o dzieciach, które zapomniały
i przypominają sobie,

gdy potrzebują pieniędzy oraz o szefie, który
zrobił dziecko
sekretarce (huczy o tym całe miasto)
i codziennie szuka dziury
w całym. Zapomina o wszystkim zazwyczaj
w okolicach dziesiątego

piwa lub piątej setki. Następnego dnia
jednak pamięć znowu
powraca. Wieczorem znowu trzeba będzie
zrobić powtórkę.

■

Adam Lizakowski

Czy poeta Czesław Miłosz był kosmitą? (14)



Fot. Andrzej Dębkowski

Wiersz rozpisany na sześć zwrotek o różnej ilości wersów, pisany w pierwszej osobie nie powinien sprawiać trudności czytelnikowi i nie potrzebna jest jego analiza czy interpretacja. Podmiotem lirycznym jest w nim sam poeta-emigrant, który mówi do emigrantów w bardzo zrozumiały sposób, ale w ostrym tonie, *Bo ty jesteś mową upodlonych*, można to zrozumieć, jako „mowa pokonanych”. Proszę zwrócić uwagę na pierwszą, czwartą i ostatnią, siódmą zwrotek. W nich poeta (podmiot liryczny) wyraża wielką tęsknotę do ojczystej mowy, do polskości, świadomy jest swojej kultury i korzeni, swojej tożsamości. W zwrotce trzeciej bardzo dosadnie mówi to, co mu leży na sercu. Mówi dosłownie:

Teraz przynaję się do zwątpienia.

Są chwile, kiedy wydaje się, że zmarnowałem życie.

Bo ty jesteś mową upodlonych,
mową nierozumnych i nienawidzących
siebie bardziej może od innych narodów,
mową konfidentów,
mową pomieszanych,
chorych na własną niewinność.

Czy trzeba pytać, dla kogo poeta „zmarnował” swoje życie? Dla tych co najwięcej w Ameryce wybudowali kościołów, ale nie budowali fabryk, ale jako szara bezimienna masa, siłą swoich mięśni nie mózgów przyczynili się do potęgi gospodarczej Ameryki. Pracowali dla innych, nie potrafili wziąć losu we własne ręce i „użyć głowy” tak, aby to oni dawali pracę, przez co mieliby ogólny szacunek. Pisał poeta w *Rodzinnej Europie* o samym sobie: „Znalazłem się więc wśród milionów, które mieszkają, jedzą, ubierają się za cenę sprzedaży określonej liczby godzin swojego życia”. Tacy, co pracują „za określoną liczbę

godzin”, nie liczą się i nikt ich nie traktuje poważnie. Oni będą pracować dla każdego, nawet dla takiego magnata – przemysłowca z Detroit, jak Henry Ford, antysemita i sympatyka Hitlera, któremu dawał prezenty na urodziny, a ten odwzajemniał się nadając mu wysokie odznaczenia Rzeszy Niemieckiej (szkoda, że Fordem nie zajęli się Państwo Grossowie). Tysiące Polaków mieszkało w Detroit, bo tam była praca, ale pracy potrzebowali nie tylko Polacy, również „Murzyni”. Ford, gdy zachodziła potrzeba, „napuszczał” jednych na drugich. Polaków „straszył” „Murzynami” jeśli nie przestaną domagać się podwyżek, albo jak będą strajkować, to czarni w każdej chwili mogą ich zastąpić. To samo mówił „Murzynom”, jeśli nie wezmą się do pracy, to na ich miejsce zatrudni Polaków, którzy pod bramą już czekają. Tutaj można powołać się na historyka o polskich korzeniach, profesora Thaddeusa Casimira Radziłowskiego. Jako dowód wskazał na ulotkę, jaką do polskiego sąsiedztwa w Detroit wysłał w 1940 roku lider Afroamerykanów Charles Hill. Apelowal w niej: „My czarni i Polacy musimy współpracować; chcę, byście wiedzieli, że nie uważamy Polaków za głupców, którzy nadają się tylko do pracy fizycznej” – powiedział historyk.

Także w sondażu przeprowadzonym wśród mieszkańców Detroit w 1964 roku, aż 60% Afroamerykanów powiedziało, że wraz z nimi to Polacy są najbardziej dyskryminowani.

Wracajmy jednak do wiersza, bo rozczarowanie rodakami, ich sytuacją życiową napawa Miłosza smutkiem, poeta staje się agresywny, po raz kolejny poeta zapominał, że ludzie biedni, ciężko pracujący, biorą z życia to, na co ich stać. Wybierają wartości niskie, dla poety nawet antywartości, często nawet nie zdają sobie sprawy z tego, że czynią złe, ale aby cenić wartości wyższe trzeba mieć czas, odpowiednią edukację i pieniądze, za które można kupić sobie wspomniany już wielokrotnie luksus bycia kulturalnym, luksus czytania książek. Padają słowa:

Bo ty jesteś mową upodlonych,
mową nierozumnych i nienawidzących
siebie bardziej może od innych narodów,
mową konfidentów,
mową pomieszanych,
chorych na własną niewinność.

Emigrant zawsze jest w stanie kryzysu z wielu powodów. Jednym z nich jest niemożliwość samorealizacji, choćby luksus czytania, bycia częścią kultury czy to polskiej, czy amerykańskiej. Częścią kultury amerykańskiej nie może być, bo język nie pozwala, a właściwie jego brak. Taki kryzys trwa dekadami, bo odrzucone wartości wysokie, niemożliwość realizacji siebie samego, często powodują, że pijemy do lustra. O tym też poeta pisze. Ocenianie Polaków, rodaków surowo do niczego nie prowadzi. Bycie wyniosłym, bo ja mam czas na czytanie i pisanie, jeszcze bardziej pogłębia mur pomiędzy nim a Polonią. W ostatnim wersie wiersza stwierdza „chorych na własną niewinność”. Ta „choroba na własną niewin-

ność” to nic innego niż naturalny konflikt duszy z rozumem. Dusza domaga się pokarmu intelektualnego, a rozum racjonalnej oceny sytuacji. Rozum rozkazuje duszy: nie stać cię na książki, one są na drugim planie, bycie kulturalnym wymaga sporo czasu i pieniędzy, bilety do teatru, opery sporo kosztują. A co zarabiasz? To są stawki głodowe. Daj sobie spokój marzeniom o życiu kulturalnym, patrz, z czego żyjesz, ile możesz wydać miesięcznie na kulturę? Po co ci półki na książki, przecież nie masz gdzie je nawet wstawić. Po co ci obrazy, skoro nie możesz wbić gwoździ, bo ściany mieszkania nie są twoje, coś dopiero pozwolić sobie na kupno obrazu. Po co ci bilet do teatru, skoro nie masz na taksówkę, aby do niego dojechać, a parking w śródmieściu to dziesięć dolarów za godzinę. Mimo wszystko poeta jest po stronie ludzi słabych, a słaby jest biedny. On nie potrafi się bronić przed wartościami wyższymi, bo go nie stać, poddaje się. Nie może zaplanować życia kulturalnego, myśleć pragmatycznie, bo trzeba dużo pracować, aby było co do garnka włożyć, gorzka refleksja zostaje zastąpiona poczuciem smutku. Poeta chciałby być dla ludzi, narodu wielkiego, prężnego, bogatego, mądrego, zaradnego i rozgarniętego życiowo, czytającego poezję, niestety, tak nie było i nie jest. Miłosz chciał być władcą świata, a nie władcą małej Albanii, robił bardzo dużo dla kultury polskiej, dla polskości. Miał wokół siebie zawsze chętnych ludzi do współpracy, ale nie miał satysfakcji, tej radości od rodaków, na którą w pełni sobie zasłużył, czuł, że był w pustce. Spotkało go ich milczenie, nie dlatego, że go nie cenili, ale dlatego, że go nie czytali, nic nie czytali, można powiedzieć jak usprawiedliwienie na milczenie. On miał wrażenie, że zamiast rosnąć w siłę, polskość pozbawia go jej, ale mimo wszystko walczył o polskość, walczył z samym sobą. Doskonale wiedział, jacy są Polacy, wiedział, że człowiek żyje chlebem, nie poezją, ale wciąż liczył na cud, że to się zmieni, że będzie nie kosmitą, a normalnym człowiekiem, żyjącym w normalnym społeczeństwie, gdzie sprawy kultury równie są ważne jak praca.

Kosmita Miłosz chciał być z lepszej planety, z której mógłby być dumny, nie z planety „chorych na własną niewinność”, albo niezadradność życiową. Inną wielką kontrowersyjną sprawą dla rodaków był Nobel dla Miłosza, czy to nie aby Solidarność mu go „dała”, przecież on nie jest takiej nagrody wart. Autor wiersza „Campo di Fiori” nie godził się na miano poety walczącego z komunizmem, czy pisarza politycznego i wielokrotnie mówił w wywiadach, że jego Nagroda Nobla nie ma nic wspólnego z ruchem Solidarności, bo on już wcześniej, w maju 1980 roku, został wytypowany na kandydata do niej (Krótka lista). Mówiąc to, próbował wytrącić argument tym, co twierdzili, że jego Nagroda to polityczna sprawa i żeby nie Solidarność, nigdy by jej nie dostał. Tak się bronił przede wszystkim przed rodakami, którzy próbowali pomniejszać jego pracę na rzecz polskości, jego dorobek, jego talent poetycki.

cdn.

Ryszard Wasilewski

czekamy na siebie

w zmieniającym się tle zdarzeń
pulsujących dniach
niekiedy bywa nieruchome czekanie
aż ktoś
kto nie ogranicza
nie zabrania
naciśnie klamkę
wejdzie
i powie wprost
– wiem kim jesteś
ale o tobie niewiele
tyle że razem
nie bywamy posłuszni
ślepnącemu światu
możemy przegryźć pręty klatki
pozostawiając w sobie to co u Norwida
„kto ze źródła pije
musi ukłęknać i pochylić czoło”

trzech w ogrodzie

z jednego języka
który ich podzielił
z tuneli i wież
szli do ogrodu
z osobnym drzewem
na którym owoc wzniesień i upadków

pierwszy który chadzał za jednym
w skandującym tłumie
wziął topór
i napięte bębny

ten z drugiego
gdy szloch był pacierzem
co skinieniem głowy
dawał znak pokoju
chciał potrząsać pnem

trzeci któremu wystarczały
chleb i chryzantemy
posądzony o to
czego nie popełnił
może tylko się wspinać
bosymi stopami po oślisłej korze

a kamery rejestrują
przekazują on line
tym którzy wygodnie
rozsiedli się w życiu
z utrwalonym –
co ma być to będzie

kamienie

nazwałem swoje kamienie
usypisko u podnóża góry
kruszyłem
by żaden nie stał się głazem Syzyfa

ten pod starym drzewem
doświadczył
że nie korona
a korzenie pierwsze

omszałe na kopcach bezimiennych grobów
o których pamięć krucha i łamliwa
jak głaz na grzbiecie
zbyt ciężki
aby stanąć prosto

wyrzucony z procy przez niewprawną rękę
odczuł że to co ważne
zdarza się przypadkiem
miłowy
przy trakcie pątników i zdobywców
wystudzał z iskrzeń wydeptane stopy

a ten z rumowiska
po dawnej konstrukcji
by stał się węgielnym
gdy buduje nowe

future simple?

któregoś dnia nieodległej daty
gdy czujemy się jak znoszony płaszcz
na wieszaku
kiedy płatami łuszczą się plany
a zużyte słowa pozbawiają złudzeń
wzbogacamy się o rozmowy
z algorytmem

choć się odstawiamy
to nic nie przesądza
i nic nie zaprzecza
my osobliwość
człowiek
z wielu połączeń
podwiązany w jedno

niepewny
kto kogo wyłączy

nasza historia czasu

niekiedy jesteśmy jak stare
umierające gwiazdy
zanim nastąpi wielki kolaps

nasz mikrokosmos gęstnieje
ma swoją akcję
epizody
symbole i metafory
które chcemy przekroczyć
przewyższyć
odnaleźć szczegółność

i drążymy
w spoinach pamięci
własną historię czasu
z horyzontem zdarzeń
czekając na wybuch osobliwości

przecież od tego się zaczęło

dopowiedzieć

zaczęłem lubić sprawy skromne
ulotne jak motyl
który nie dał się przyszpilić

wśluchuję się w te skrawki
strzegące emocji
niedopowiedzianych
i tych
nie zarosłych słowami

aby wyśpiewać
na strunach napiętych do bólu
słowa przełknięte
pośród wykrzyczanych

szukam zasięgu

nieuchronne

kiedyś uważałeś że to przypadek
nieważny szczegół
w granicach statystycznego błędu
i kiedy nie wiedziałeś
podsuwali ci swój modlitewnik
a sufler
pobrzękujący trzosem
podpowiadał którądy

zwykle wnicali bocznym wejściem
chyłkiem
a ty ich wpuściłeś tak wprost
bo uwierzyłeś
w swoją bezpieczną neutralność

a oni przyszli już po ciebie
jak po wielu innych
których milczenie oszukujące
i oszukiwane
ośmielało

było kłamstwem

pęknięte szwy

to sięga głębiej
i trudno dokładnie ustalić
kiedy wybiło szambo –
rozlało się
skażając źródła

nawet dzwony przestały lamentować

rosła chmara uczestników w gumiakach
którzy zaczęli uzdatniać ścieki
na własny użytek
rozpełzli się
wśród straganów świecidełek
nęcących smaków wprost z garkuchni
rojowisku tych
którzy codzienność wypełniają tym
co się nawinie
przy wtórze jątrzeń
przeinaczeń

dla których inne słowa brzmią
niezrozumiale

Anna Andrych

Przed jutrem

są chwile
kiedy pęka powietrze
nie można oddychać ani dźwignąć
myśli kroku przyspieszyć
potykając się o fałszywe świadectwa –
staję nie raz przy grobach
tablicach pamięci przodków
co przeszli od sielskiej wsi po Katyń
i tych co w szeregach krew przelali
o wolność nie tylko własnego kraju
dusza łamie się we mnie
za każdym razem choć czas mija
zaciera ślady rodzinne pamiętki
a świat jak młyńskie koło
obraca się i nagle wyrasta
teraźniejszość
wyje jak pies bezdomny
człowiek zaszczuty
sejsmograf mojego serca
rejestruje kolejne wstrząsy
coraz ciemniejszego horyzontu
jutra

Prawda poety

sto lat temu urodził się mój ojciec
życie miał trudne a duszę poety
kosił zboże i zieloną łąkę
kosa śpiewała na żdźbłach
lubił dłonią przysłonić oczy
przed słońcem albo zachłysnąć się
trawą po deszczu
kiedy zbliżała się burza patrzył
w błyskawice bez lęku
bezgraniczny rósł w nim
wcześniej w czasie wojny
gdy trafił do Niemiec na roboty
a jego bracia w kraju przelewali krew
myślał wtedy jak to możliwe że
zaborcy czyjejs wolności modlą się
w kościołach śpiewają głośno
do tego który mówił że jest Bogiem
wszystkich ludzi
pierwszy cud zdarzył się udaną ucieczką
w dzień spał nocą szedł nad ojczystą Grabie
Niemcy w lesie chcieli rozstrzelać
bo to partyzant znał ich mowę
jeden z nich go ocalił wtedy pomyślał
kolejny cud a Bóg sprawiedliwy
umęczony głodem i drogą
bliski jej kresu
zerwał w sadzie gałązkę jabłoni
ściskał w dłoni jak broń i amulet
pozwolił płynąć łzom

Dopóki światło w oknie

każdego roku z miłością uprawiał
warzywa kwiaty i zrywał porzeczki

wszystko z nadzieją szczyptą szczęścia
lecz choroba była silniejsza bezwzględna
nie wychodził już do ogrodu
nie zbierał owoców spod jabłoni
przyjeżdżałam codziennie a kiedy
wracałam na przystanek
tato wyglądał oknem na piętrze
by mi ręką pomachać na
do widzenia
czasem czekałam pod domem
aż zapali lampę ciepły blask
zaglądał w błękit jego oczu
patrzyłam w górę
myśląc życie trwa tak długo
dopóki światło w oknie

Bernard Łach

Milczenie

Szum morza nie jest milczeniem,
brakuje mu słów, a jednak mówi
całym sobą.

Dlaczego człowiek nie szumi,
często swą kakofonią
zagłusza cały świat.

Błękit nieba drży cicho
słońce złote pozostaje jasne,

nie blednie w świetle dnia.

Palmy, rozczochrane przez wiatr
rozpościerają cień jak dłoń spokoju,
są ukojeniem dla oczu i serca,
jak oddech samego oceanu.

Futbol łagodności

Na wispach, gdzie horyzont rozpuszcza się
w turkusie,
piłka toczy się ciszej niż gdziekolwiek indziej,
jakby znała rytm fal i oddech wiatru,
jakby nie chciała zakłócić spokoju ludzi.

Boisko nie jest tu polem walki,
lecz miejscem spotkania –
piasek pamięta kroki przyjaciół,
a bramki stoją jak otwarte ramiona,
gotowe przyjąć każdy ruch bez gniewu.

Palmowe liście szeleszczą jak ciche oklaski,
cień przesuwają się powoli, nie wybierając
stron,
a czas — rozproszony w powietrzu –
zapomina liczyć minuty i wynik.

Ich gra nie zna agresji,
nie rodzi się z potrzeby zwycięstwa za
wszelką cenę,

lecz z prostego pragnienia bycia razem,
z ruchu, który jest rozmową,
z podań, które są gestem zaufania.

A kiedy piłka zatrzymuje się w ciszy,
świat na moment wydaje się pełniejszy,
jakby w tej zwyczajnej grze
ukryto coś większego –

prawdę, że można istnieć obok siebie
bez ostrza w głosie i dłoniach,
że łagodność, jak morze o świcie,
jest siłą, która niczego nie musi zdobywać.

Eligiusz Dymowski

Na urodziny Poetki

EWIE LIPSKIEJ

Droga E.
piszę list z kraju którego nie ma
to nasze sny uparte na wieczność
budzą w środku nocy owodniałą ciemność
ale nikt tu na wszelki wypadek
nie zapala światła
bo na cóż się przyda oświecona nicość
kiedy pęka skała.

Masz rację:
*Anegdota istnienia polega na tym,
że umieramy czasem żartem...*



Rys. Barbra Medajska

Maciej Zarębski

W śląskim Davos

Na początku czerwca 2026 roku przebywałem z żoną na Dolnym Śląsku. Zachęcenie przez AI postanowiliśmy odwiedzić Sokołowsko – „najdziwniejszą wieś w regionie”. Wyruszymy z Zagnańska we wtorek 9 czerwca, zaraz po śniadaniu. Mamy przed sobą prawie sześć godzin jazdy i dystans blisko 500-kilometrowy. Wybieramy trasę przez Piotrków Trybunalski, obrzeża Łodzi, potem drogą ekspresową (S8) na Wrocław, stamtąd obwodnicą Wałbrzycha docieramy do **Sokołowska** (zwanego do roku 1945 Gobersdorffem). Jest godzina 15.00, kiedy parkujemy przed zabytkową starą pocztą przy ul. Głównej 26. Mamy tu zarezerwowany apartament. Kilka minut temu otrzymaliśmy telefonicznie instrukcję jak się do niego dostać. Lokum mieści się na parterze tego blisko stuletniego budynku i sprawia sympatyczne wrażenie. Pomieszczenie niezbyt duże (ok. 20 m²), ale przytulne, oryginalnie podświetlone, funkcjonalnie zagospodarowane.

Dysponujemy nawet mini tarasem z bezpośrednim wyjściem zabezpieczonym moskitierą, gdzie stojący stolik z krzesłami zachęca do wypoczynku. Nie możemy z tego udogodnienia skorzystać ze względu na niesprzyjającą aurę.

Po rozpakowaniu i obiedzie przygotowanym z domowych zapasów, korzystając z chwilowej poprawy pogody, zaopatrzeni w parasole, udajemy się na spacer po dawnym uzdrowisku. Vis a vis starej poczty rozpościera się skwer dr. Alfreda Sokołowskiego. Na jednej z tablic tu umieszczonych znajdujemy jego życiorys (pozostałe zawierają informacje o innych ważnych dla Sokołowska osobach). Dr Sokołowski to postać niezwykle zasłużona dla tej miejscowości. Urodzony w roku 1849 we Włodawie ukończył studia lekarskie w Szkole Głównej w Warszawie w roku 1873. Rok później przybył do Göbersdorff w charakterze pacjenta. Po trwającej kilka miesięcy kuracji został asystentem dr. Hermanna Brehmera, który trafił w te strony za namową starszej siostry żony Amalii, Marianny von Colomb, zwolenniczki hydroterapii metodą Vinceza Priessnitza, i od roku 1855 prowadził tu pierwszy na świecie zakład sanatoryjny leczenia gruźlicy. Po śmierci dr. Brehmera w 1889 roku dr Sokołowski kontynuował i doskonalił brehmerowskie metody leczenia suchot płucnych (spacery, umiarkowane ćwiczenia na powietrzu i dietetyczne żywienie). W roku 1908 założył Towarzystwo Przeciwgruźlicze. Po II wojnie światowej, dla uczczenia tego wybitnego lekarza, zmieniona nazwę miejscowości na Sokołowsko.

Idziemy ulicą Główną w prawo w stronę centralnego obiektu, wybudowanego przez dr. Brehmera budynku sanatorium. Po drodze mijamy pochodzące z końca wieku XIX domy o ciekawej architekturze i oryginalnym

wyglądzie. Niestety, większość z nich wymaga pilnej renowacji. Niektóre sprawiają wręcz wrażenie opuszczonych. Na ulicach spotykamy niewiele osób, co czyni miejscowość jakby wymarłą. Mijamy skrzyżowanie z ulicą Parkową i zatrzymujemy się przed okazałą trójkondygnacyjną kamienicą, z zabudowanym poddaszem.



To dawny pensjonat Tannenberg, wybudowany około 1910 roku w stylu późnego historyzmu. Przez lata pełnił funkcję sanatorium dr. Weickersa. W latach 50. XX wieku, mieszkał w tym budynku wraz z rodziną (jako nastolatek) Krzysztof Kieślowski, przyszły słynny reżyser, filmowiec i scenarzysta. Na fasadzie budowli znajduje się odsłonięta w roku 2006 z okazji 10. rocznicy śmierci tego twórcy pamiątkowa tablica o tym informująca. Obecnie obiekt pełni funkcję mieszkalno-usługową.

Po drugiej stronie ulicy Głównej, naprzeciw pensjonatu, stoi dawny hotel Bergland. To obiekt historyczny, który powstał pod koniec XIX wieku. Przed II wojną światową był popularnym hotelem z dużą salą restauracyjną, w której seanse filmowe wyświetlała objazdowa kino-projektorka. W latach 20. XX wieku odbywały się w nim także nabożeństwa dla katolików. Po wojnie był siedzibą domu kultury i kina. Dziś budynek służy celom mieszkalnym, a wyremontowana sala kinowa funkcjonuje jako kino-teatr „Zdrowie”, organizujący wydarzenia kulturalne, seanse filmowe oraz lokalne spotkania artystyczne i wieczory autorskie. Nawiasem mówiąc, to właśnie seanse filmowe w tym budynku miały ukształtować fascynację X muzą kilkunastoletniego Kieślowskiego. W obiekcie znajduje się także klimatyczna kawiarnia „Zdrowie”, która jest integralną częścią kinoteatru. Nie jest to typowa, komercyjna kawiarnia – miejsce łączy funkcję kawiarni, artystycznego centrum spotkań oraz księgarni. Można tu wypić wyśmienitą kawę, skosztować domowych ciast, a nawet spróbować regionalnych alkoholi, wszystko to w otoczeniu historycznych wnętrz. Całością zarządza, od roku 2007, Fundacja Sztuki Współczesnej In Situ. Obiekt jest jednym z głównych punktów na mapie

corocznego Międzynarodowego Festiwalu Filmowego Hommage a Kieślowski.

To wydarzenie odbywa się rokrocznie (od 2011 roku), pod koniec sierpnia.

Idąc dalej ulicą Główną mijamy budynek pod numerem 25. To także obiekt historyczny, wybudowany na początku XX wieku. Do II wojny światowej funkcjonował jako Doktorhaus. Mieści się w nim od kilkunastu lat popularna „Kawiarenka Smaków”, gdzie jest serwowana legendarna beza. Lokal oferuje także znakomitą kuchnię włoską, szczególnie polecając truflową pizzę.

Spod „Kawiarenki Smaków” już niedaleko do legendarnego sanatorium dr. H. Brehmera, najważniejszej budowli Sokołowska. Utrwalam jego część frontálną.



Jest teraz okazja, by przybliżyć wreszcie historię miejscowości.

Została założona w XIV wieku przez zakon benedyktynów z czeskiego Broumowa. Na początku wieku XVI razem z okolicznymi wsiami kupił ją hrabia von Hochberg posiadający rodową siedzibę w Książu. W połowie wieku XIX powstało tutaj pierwsze na świecie specjalistyczne sanatorium dla chorych na gruźlicę. Pomysłodawcą i realizatorem przedsięwzięcia był, o czym pisałem wcześniej, dr Brehmer, twórca innowacyjnej metody leczenia klimatyczno-dietetycznego gruźlicy. Jego podejście zrewolucjonizowało terapię tej groźnej choroby i spowodowało, że do tego zakątką Sudetów masowo zaczęli „pielgrzymować” chorzy z całej Europy. Dr Brehmer zajmował się nie tylko leczeniem. To on stworzył rozległy park z alejkami, altanami i ławeczkami, zakładając istotny wpływ kontaktu z naturą na zdrowie. Sanatorium szybko się rozrastało. Już w roku 1862 postawiono pierwsze budynki uzdrowiskowe oraz pensjonaty. Z biegiem lat obiekt powiększył się o kolejne skrzydła, bibliotekę, ogród zimowy, a nawet mieszkanie dyrektora. Całość w stylu neogotyckim, z akcentami orientalnymi, zaprojektował uznany architekt niemiecki żydowskiego pochodzenia Edwin Oppler. Powstał potężny budynek z cegły, z elewacją pokrytą cegłą klinkierową. Zdobia go liczne wieżyczki, balkony, wykusze, okna z łukami i portalami. Nawet dzisiaj, chociaż nie całkowicie

odrestaurowany, zachwyca monumentalnym kształtem i bogactwem detali architektonicznych. W szczytowym momencie działalności sanatorium mogło się tu leczyć ponad 700 kuracjuszy. Do ich dyspozycji oddano aż 303 pokoje. Były one zlokalizowane w głównych budynkach i w należących do zakładu willach. Uzdrawisko pod koniec XIX wieku posiadało własną pocztę i połączenia telefoniczne. Jego sława była tak duża, że na wzór Sokołowska powstało parę lat później słynne szwajcarskie Davos. I mimo że, jest ono ośrodkiem sanatoryjnym młodszy, to cieszy się większą sławą, a Sokołowsko określa się nazwą „śląskie Davos”, chociaż chronologia wskazuje inaczej. Warto nadmienić, iż sam Tytus Chałubiński zainspirował się Görbersdorffem, szukając polskiego miejsca na kurort leczący choroby płuc – tym miejscem stało się Zakopane. Po II wojnie światowej Görbersdorff przemianowano na Sokołowsko, a sanatorium dr Brehmera na „Grunwald”. Chociaż nadal funkcjonowało jako uzdrawisko, to straciło międzynarodowe znaczenie. Prawdziwy cios przyszedł w roku 2005. Obiekt został zniszczony przez dwa pożary. I kiedy wydawało się, że Sokołowsko już się nie podniesie z losowego upadku, wydarzyło się coś niezwykłego. Unikatowy, po trosze dekadenski, klimat miejsca zaczął przyciągać artystów, filmowców, pisarzy – twórców poszukujących inspiracji. Kluczową rolę odegrała tu Fundacja Sztuki Współczesnej In Situ (łacińska nazwa oznacza „w miejscu”), która, po przejęciu ruin kompleksu w roku 2007 rozpoczęła żmudny proces rewitalizacji obiektów sanatoryjnych. Prace postępują powoli, gdyż wymagają ogromnych nakładów finansowych. Widać już pierwsze efekty odbudowy. Oglądamy spiczastą wieżę, która prezentuje się okazale. Fundację czeka jeszcze ogrom pracy. Ale już widoczne jest ożywienie aktywności kulturalnej Sokołowska, które stało się od pewnego czasu domem dla organizowanych corocznie festiwali filmowych, oraz miejscem spotkań artystów, wydarzeń kulturalnych i przestrzeni poświęconą pamięci Krzysztofa Kieślowskiego. W odnawianych powoli, ale systematycznie, ruinach sanatorium odbywają się koncerty i wystawy artystyczne.

Tuż za parkiem, w bezpośrednim sąsiedztwie budynku sanatorium, napotykamy niezwykle ciekawą budowlę. Pełniła ona dawniej rolę obserwatorium astronomicznego. Budynek powstał w 1876 roku w stylu neogotyckim. Pierwotnie dach był płaski, co widać na starych zdjęciach, i właśnie z tego tarasu można było obserwować niebo. Obecnie dach pokrywa oryginalny tupek. Niedługo budynek stanowił integralną część sanatorium dr Brehmera. Dziś jest własnością prywatną i pełni funkcję mieszkalną.

Naprzeciw głównego budynku sanatorium przy ulicy Słonecznej stoi inny historyczny obiekt.

Dawniej zwany Steinhaus, powstał około połowy wieku XIX. Jest pozostałością istniejącego w tym miejscu gospodarstwa. Został wybudowany w konstrukcji kamiennie-ceglanej. Obecnie mieści się w nim prywatna galeria sztuki oraz biblioteka publiczna. Zwraca

uwagę nową elewacją, a także oryginalnymi detalami architektonicznymi. Na ścianie zewnętrznej widoczna wmurowana tablica poświęcona Kieślowskiemu.



Pod płaskorzeźbą głowy artysty napis *Krzysztof Kieślowski w Sokołowsku 1951-1960*. Filmowiec trafił do Sokołowska wraz z siostrą i matką ze względu na chorobę płuc swojego ojca, który leczył się w tutejszym słynnym sanatorium dr Brehmera. I co podkreślają wszyscy jego biografowie, uzdrawiskowy klimat miejscowości i specyficzna atmosfera tego miejsca, często nazywanego „Platońską jaskinią”, głęboko zapadły w pamięć przyszłego reżysera. W każdym razie jest faktem, iż to w Sokołowsku zrealizował w roku 1974 film *Przeświadczenie*, jedną ze swoich pierwszych produkcji dokumentalnych.

Idąc w górę ulicy Słonecznej, na zapleczu dawnego sanatorium „Grunwald”, spotykamy kolejny ciekawy budynek. To postawiony około 1878 roku pensjonat „Weisses Haus” (Biały Domek). Przez lata wchodził w skład zespołu sanatoryjnego dr. Brehmera. Obecnie jest domem wielorodzinnym. Obiekt w stylu szwajcarskim, konstrukcji murowano-drewnianej, został wybudowany na miejscu domu kuracyjnego hrabiny Marii von Colomb. Przypomnijmy, że ta „matka chrzestna” sanatorium sokołowskiego była siostrzenicą księcia Gebharda von Leberechta, pruskiego feldmarszałka, wojskowego pruskiego zasłużonego zwycięstwami nad Napoleonem w bitwach – pod Lipskiem (1813) i Waterloo (1815). To ona przybyła latem 1849 roku do Görbersdorff, wsi pruskiej zamieszkałej przez ok. 350 mieszkańców. To ona jako pierwsza odkryła lecznicze walory tej sudeckiej miejscowości. Była pod wrażeniem lekarza Wincentego Priessnitz, który założył uzdrawisko w Gräfenburgu (dzisiejsze czeskie Lázně Jeseník) i odnosił spektakularne sukcesy w wodolecznictwie. Wzorując się na tym lekarzu-samouku w 1850 roku założyła w Görbersdorffie zakład leczenia zimną wodą, wykupując od Hochbergów, ówczesnych właścicieli, młyny z okolicznym terenem. Uzdrawisko, niestety nie przyniosło planowanych zysków, a niespłacone długi w 1854 roku wpędziły hrabinę do więzienia. Na szczęście dla miejscowości zakład przejął od niej jej szwagier – dr Hermann Brehmer. Dalsze losy uzdrawiska opisałem wcześniej.

Wyruszamy w drogę powrotną. Do ulicy Głównej dochodzimy ulicą Słoneczną, mijając dwa okazałe współczesne budynki mieszczące biura sanatoryjne, potem idziemy ulicą Parkową mijając skwer imienia Krzysztofa

Kieślowskiego. Wchodzimy na ulicę Szkolną, zatrzymując się przed budynkiem dawnej szkoły ewangelickiej. Pochodzi z 1880 roku. Po II wojnie światowej, od 1946 roku, mieściła się tu polska placówka edukacyjna. Obecnie dawne obiekty oświatowe zostały adaptowane na cele mieszkaniowe, a młodzież od początku XXI wieku uczy się w Zespole Szkolno-Przedszkolnym im. Janusza Korczaka przy ul. Unisławskiej. Idziemy dalej, mijając stojące naprzeciw dawnego budynku szkolnego zaniedbane domy o elewacji świadczącej, iż czasy świetności mają za sobą. Te domy domagają się remontu. Podobne wrażenie odnosiliśmy także obserwując podczas wcześniejszego spaceru inne budynki przy ulicy Głównej.

Dochodzimy do budynku o numerze 1, stojącego blisko połączenia ulicy Szkolnej z ulicą Główną. Prezentuje się korzystnie. Widać, że niedawno był odnowiony. Na ścianie zewnętrznej widoczne są kolorowe ornamentacje oraz cyfra 1847 oznaczająca rok jego powstania. To dawny obiekt uzdrawiskowy. Stanowi historyczną część kompleksu sanatoryjnego. Służył od połowy wieku XIX potrzebom kuracjuszy jako pensjonat oraz mieszkania dla obsługi tego dolnośląskiego kurortu. W latach 90. XX wieku budynek przeszedł w ręce prywatnych właścicieli. Obiekty mieszkaniowe przy ulicy Szkolnej powstawały na przełomie XIX i XX wieku, w okresie największego rozkwitu miejscowości. Ulicą Szkolną wychodzimy wprost na naszą starą pocztę. Całe szczęście, bo zrobiło się późno i zaczął padać deszcz. Po kolacji oglądam jeszcze wiadomości w telewizji i uzupełniam z Internetu wiedzę o historii Sokołowska. W zajmowanym przez nas klimatycznym apartamencie relaksujemy się po spacerze. Kolacja, rozgrzewająca herbata, plan jutrzejszego zwiedzania i zasłużony odpoczynek nocny.

Następnego dnia (środa 10 czerwca) po toalecie i smacznym, przyrządzonym we własnym zakresie śniadaniu udajemy się na kolejny spacer po uzdrawisku. Naszym celem jest poznanie interesujących i zabytkowych obiektów przy ulicy Parkowej. Udajemy się ulicą Główną w prawo, idąc około 100 m znaną nam trasą. Po dojściu do parku im. Krzysztofa Kieślowskiego skręcamy w lewo w prowadzącą lekko pod górę ulicę Parkową. Po prawej stronie ulicy mijamy jedno ze skrzydeł budynku związanego z osobą słynnego filmowca. Na ścianie przylegającej do kamienicy przybudówki znamienity napis o treści *-Kiedyś byli świetni reżyserzy, których dziś już nie ma*. Po pokonaniu 100-150 metrów dojdziemy do ścieżki prowadzącej na teren kościoła parafialnego pw. Matki Bożej Królowej Świata. Był pierwotnie protestancki, wybudowany ze składek kuracjuszy w latach 1883-84 na terenie ofiarowanym przez dr. Theodora Römplera, także zasłużonego dla uzdrawiska lekarza. Po II wojnie światowej kościół został przekazany katolikom. Jest to murowany obiekt jednonawowy nie posiadający zabytkowego charakteru. Na uwagę zasługuje jedynie neogotycki drewniany prospekt organowy

(Dokończenie na stronie 10)

W śląskim Davos

(Dokończenie ze strony 9)

z wieku XIX oraz witraż z prezbiterium z tego samego okresu. Wewnątrz kościoła pod tynkami znajdują się polichromie i prace z dziedziny metaloplastyki wybitnego artysty Johanna M. Avenarius, wykonane w połowie lat 30. XX wieku. Ten śląski malarz, grafik, ilustrator urodził się w Gryfowie, a zmarł w 1954 roku w Berlinie.

Był prywatnie przyjacielem Gerharta Hauptmanna (o tym pisarzu będzie mowa w dalszej części reportażu), także związanego z Görbersdorffem.

Idąc w górę ulicą Parkową dochodzimy do kompleksu dawnego zespołu sanatoryjnego kierowanego w latach 1876-1908 przez powyżej wspomnianego dr. Theodora Römplera.



Najstarsza jego część, zwana historycznie „Turn Villa”, powstała w roku 1874 z inicjatywy pierwszego właściciela obiektu barona von Rossinga. Po wykupieniu w roku 1878 zakładu od barona, dr Römppler przystąpił do tworzenia 120-hektarowego parku uzdrowskiego oraz wznoszenia kolejnych obiektów kompleksu, w tym głównego budynku sanatoryjnego oraz ogrodu zimowego, leżakowni, a także lodowni. Obiekt dr. Römplera funkcjonował nieprzerwanie do wybuchu II wojny światowej, a także podczas niej. Do sanatorium przybywali inwalidzi wojenni chorzy na gruźlicę. Po wojnie i włączeniu miejscowości do Polski klinika Römplera, ocalała przed zniszczeniem i grabieżą, szybko została ponownie uruchomiona jako sanatorium przeciwgruźlicze o nazwie „Biały Orzeł”. Obiekt ten do dzisiaj pełni funkcję leczniczą, obecnie jako Dolnośląski Ośrodek Opieki Pulmonologicznej. Naprzeciwko wejścia do Ośrodka podziwiamy zachowane w dobrym stanie rzeźby o tematyce antycznej.

Z lekarzy pracujących w latach powojennych w tym obiekcie należy wymienić dr. Stanisława Domina, który był w latach 1956-1994 dyrektorem ZOZ Chorób Płucnych w Sokołowsku. W tym czasie przeprowadził remont nie tylko obiektów „Białego Orła”, ale także opisanego wcześniej „Grunwaldu”. Dr Domin pracę zawodową w Sokołowsku zakończył w roku 2013. Lekarz ten odegrał ogromną rolę w powojennym rozwoju nie tylko obiektów sanatoryjnych, ale również całej miejscowości, w szczególności jako ośrodka sportów zimowych. Utworzył także

przykładową pracownię metaloplastyki, w której wyrabiano do dzisiaj widoczne w Sokołowsku ozdobne elementy.

Idąc w górę ulicą Parkową mijamy (po prawej stronie) kolejny okazały budynek, znany jako „Villa Elsa”. Został wzniesiony w roku 1876 dla rodziny doktora Römplera, zaprojektowany w stylu „willi szwajcarskiej”. W latach 1882-1945 był domem doktora i jego żony Elsy oraz miejscem spotkań całej rodziny. W czasie II wojny światowej stał się schronieniem dla kobiet i dzieci rodziny właścicieli. Po roku 1945 budynek zaadaptowano na przedszkole. W latach 90. XX wieku zrujnowany obiekt odkupiła prawosławna parafia pw. św. Archanioła Michała, która go wyremontowała i otworzyła w roku 2000 jako Dom św. Elżbiety. Parafia realizuje w nim projekt Ekumenicznego Ośrodka Spotkań Integracyjnych. W przeszłości w tym obiekcie serwowano lokalne specjały kuchni kresowej.

Naprzeciw niego natrafiamy na płaskorzeźbę Leśne Źródło. Monument zwany także „Waldquelle” (ta nazwa jest wyryta na górze obiektu) pochodzi z końca wieku XIX. Przed laty służył w parku jako ujęcie wody źródlanej. Jest jednym z niewielu pozostałych elementów małej architektury parkowej. Płaskorzeźba już mocno się zatarła. Obiekt ozdobiony jest historycznym cytatem z Goethego – *Każdy powinien korzystać z życia według własnego upodobania*. Samo źródło, położone na uboczu wśród drzew, niegdyś było elementem kuracji pitnej dla gości uzdrowiska. Woda z niego obecnie już nie tryska, ale to świetne miejsce, pełne historii, zachęcające do chwili wytchnienia. Według legendy jest to miejsce założenia miejscowości.

Idąc dalej ulicą Parkową mijamy Aleję Lipową. Malownicza, pełna uroku ścieżka biegnie pośród starodrzewu, zapraszając na spacer wśród zieleni. Towarzyszy tu wędrującym śpiew ptaków, szum drzew i obecność wieiórek. U jej początku tablica z napisem *W 80. rocznicę pamiętnego mordu katyńskiego w roku 1940 na oficerach i policjantach Rzeczypospolitej Polskiej, upamiętniamy postać naczelnego Prawosławnego Kapelana Wojska Polskiego ks. protoprezbitera płk. Szymona Fedorowicza, Kawalera Orderu Orła Białego. Jemu i innym pomordowanym przez NKWD Wieczne Odpoczywanie, a u potomnych cześć i chwała*. Na górze tablicy widoczna jest podobizna tego kapelana.

Po chwili, idąc parę minut pod górę, dochodzimy do małej cerkiewki pw. św. Michała Archanioła. Skryta wśród zieleni w bliskim sąsiedztwie urokliwego stawu robi wrażenie. Prowadzi do niej drewniany mostek i kilka schodów. Jest świątynią parafialną należącą do diecezji wrocławsko-szczecińskiej Polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego. Zbudowana w latach 1900-1901 staraniem Bractwa św. Włodzimierza, w stylu starojarosławskim, według projektu Karla Groszera, znanego architekta, twórcy m.in. hotelu Monopol we Wrocławiu. Konsekwowana 3 września 1901 roku przez ks. Protoprezbitera Aleksego von Malceva – kapelana rosyjskiej ambasady w Berlinie. Obiekt służył kuracjom wyznania prawosławnego do połowy

lat 30. XX wieku. Po II wojnie światowej pozabawiony wyposażenia był wykorzystywany jako kostnica. Uległa ona całkowitej dewastacji. W latach 1980-1996 (16 sierpnia) stanowiła własność prywatną, służąc jako domek letniskowy. Staraniem proboszcza parafii prawosławnej św. Cyryla i św. Metodego we Wrocławiu, ks. mitrata Eugeniusza Cebulskiego i uzyskaniu subwencji z Fundacji „Renovabis” cerkiew została odkupiona i sukcesywnie przywracana do pierwotnego przeznaczenia. Pozyskano ikonostas, 5 kwietnia 1997 roku arcybiskup wrocławski i szczeciński Jeremiasz dokonał poświęcenia nowego krzyża wieńczącego cerkiew, a w dniu 10 listopada 2001 roku wtórnego jej poświęcenia. Jej wnętrza zdobią malowidła ściennie o tematyce sakralnej.

Spod cerkwi wracamy ulicą Parkową do ulicy Głównej i do naszego lokum. Po kawie i godzinnym wypoczynku wyruszamy na trzeci i ostatni spacer po Sokołowsku. Tym razem udajemy się ulicą Główną w kierunku zachodnim. Na szczęście pogoda się poprawia, na chwilę spoza chmur wychyla się słońce.

Mijamy skrzyżowanie ulicy Głównej z ulicą Unisławską, gdzie stoi budynek „Villa Laurentin”, przed którym się zatrzymujemy. Ta zabytkowa drewniano-murowana willa pochodzi z końca XIX wieku. W czasach świetności uzdrowskiego obiektu pełnił funkcję domu dla lekarzy żeńskiego oddziału sanatorium dr. Hermanna Weickera oraz miejsca kwaterek gości pobliskiego sanatorium „Villa Buchberg”. Willa została uwieczniona na historycznych fotografiach, które można odnaleźć m.in. w *Wikipedii Commons* oraz w dokumentacji PTTK dotyczącej lokalnych tras turystycznych. Dzisiaj willa stanowi ważny punkt podczas spacerów historycznych po miejscowości.

Naprzeciw „Villi Laurentin”, po drugiej stronie ulicy Głównej, pod numerem 7 usytuowany jest inny zabytkowy obiekt.



Jak czytamy na tablicy umieszczonej na frontowej ścianie, ten dom szachulcowo-prysłupowy pochodzi z roku 1803. Pierwotnie było to zamożne gospodarstwo, którego zabudowania tworzyły czworobok. Potem pełnił funkcję leśniczówki. Na początku XX wieku (w roku 1927) przebywał w nim w gościnie u wujka Alfreda (leśniczego) Gerhart Johann Robert Hauptmann, niemiecki dramaturg i powieściopisarz, laureat literackiej Nagrody Nobla w 1912 roku, którą otrzymał za całokształt bogatej i wybitnej twórczości dramatycznej. Nic dziwnego, że obiekt jest nazywany tradycyjnie budynkiem Hauptmanna.

Tu powstała zresztą jego powieść *Wanda*. Przed rokiem 1945 znajdowała się w tym budynku pralnia, przedszkole i mieszkania personelu sanatoryjnego. Obecnie pełni funkcje mieszkalne.

Idąc w górę ulicy Głównej mijamy Ośrodek Wypoczynkowy „Radosno”, mieszczący się w dawnym pensjonacie Freudengrunt, postawionym na początku XX wieku. Po II wojnie światowej leczono tu narkomanów. Kilka dziesiąt metrów dalej, stoi jeden z najpiękniejszych, a zarazem najstarszy budynek miejscowości. Pochodzi prawdopodobnie z 1800 roku. Stanowi przykład sudeckiego budownictwa ludowego. Konstrukcja obiektu jest drewniano-zrębowa. Belki łączone są na tzw. rybi ogon. Obecnie to budynek dwurodzinny. Mieszkał w nim i tworzył w połowie XIX wieku pisarz i dramaturg epoki romantyzmu Albert Emil Brachvogel (1824-1878), stąd jego nazwa – Dom Pisarza. Naprzeciw niego stoi parterowy budynek (pod numerem 8 ulicy Głównej) i nieco wyżej wielorodzinny budynek jednopiętrowy o numerze 6, z zabudowanym poddaszem. Ma na ścianie frontowej ciekawe płaskorzeźby i posiada kolorową różową elewację.

Idziemy jeszcze drogą prowadzącą do malowniczego zbiornika wodnego. Zaczyna jednak padać i decydujemy się na powrót do naszego apartamentu. Czas najwyższy na obiadokolację, po której wypoczywamy słuchając za oknem coraz intensywniej padającego deszczu. Nie mamy szczęścia do pogody. Jest więc czas na poszukiwanie w Internecie wiadomości o aktualnym statusie Sokołowska. Znajdujemy informację, że obecnie liczy około 900 mieszkańców.

Jego specyfika polega na kontraście; swoistym dualizmie. Z jednej strony wciąż czuć tutaj ducha dawnych kuracjuszy i widać świadectwa minionej epoki; z drugiej tętni ono nowoczesną, awangardową sztuką. Ten niezwykły mariaż zdrowia i choroby, upadku i odrodzenia; zderzenia historii sprzed 150 lat ze współczesną awangardą, czyni z miejscowości najdziwniejszą i najbardziej fascynującą wieś na Dolnym Śląsku. Przekonujemy się o tym na każdym kroku.

Idę spać w przeświadczeniu, że warto było tu spędzić dwa dni i nabieram pewności, że należy tę miejscowość bardziej doinwestować, co jest rolą Ministerstwa Kultury oraz wypromować, to zadanie dla mediów i pisarzy. Uczynili to już co prawda i Olga Tokarczuk w powieści *Empuzjon*, i Joanna Bator w powieści *Gorzko*, ale o Sokołowsku trzeba pisać częściej i więcej. Wszak historia „śląskiego Davos” to gotowy materiał na fabułę książki - opowieść o narodzinach, rozkwicie, upadku i szczęśliwym zmartwychwstaniu tego niezwykłego miejsca czakramowego, o ogromnej sile i potencjale oraz unikalnym klimacie, a także tajemniczym układzie geologicznym. Wszystko to sprawia, że czas płynie tu w zgodzie z naturą – wolniej i spokojniej

Maciej Andrzej Zarębski

Benefis Jerzego Grupińskiego

Jedną z Literackich Legend Poznania jest **Jerzy Grupiński**. W sobotę 4 lipca br. o godz. 11.00 w Bibliotece Raczyńskich odbył się uroczysty jego benefis w 88. rocznicę urodzin, a także 55-lecie działalności Klubu Literackiego, którego mentorem i opiekunem jest Grupiński. Biblioteka Raczyńskich jest głównym Organizatorem tej uroczystości, ale nie byłoby jej bez Krzysztofa Szymoniaka, Anny Kokot-Nowak i Gabriela Roszaka.



Fot. Wikipedia

Jerzy Grupiński

Jerzy Grupiński jest postacią znaną w Poznaniu i kraju od wielu lat – poeta, prozaik, redaktor czasopism („Protokół Kulturalny”) i książek, krytyk, animator kultury.

Klub Literacki zaistniał w roku 1970 i zapisał się w historii Centrum Kultury Zamek do 2005 roku (35 lat). Następnie członkowie i goście klubu znaleźli lokum w Piątkowskim Centrum Kultury „Dąbrówka” (Os. Bolesława Chrobrego 117 a). To popularny ośrodek kulturalny na poznańskim Piątkowie, prowadzony przez Poznańską Spółdzielnię Mieszkaniową, która życzliwie odnosi się do działań Jerzego Grupińskiego – spotkań Klubu Literackiego „Dąbrówka” (nazwa przybrana przez klub).

Dyrektorka księgarni Katarzyna Kamińska powitała Jubilata oraz bardzo licznie przybyłych gości i otworzyła spotkanie. Jego motto: „Zasłoń mnie skrzydło / ołowiana litero podnieś”.

Laudację wygłosił Krzysztof Szymoniak, spotkanie poprowadziła Anna Kokot-Nowak oraz Gabriel Roszak. Muszę przyznać i wielu obecnych zapewne zgodzi się ze mną, że Anna Kokot-Nowak rozmawiała z Jerzym merytorycznie, ale też z dużą domieszką humoru i pytań dociekliwych, zaskakująco trafnych. Dotyczyły bowiem wybranych, specyficznych szczegółów z jego życia osobistego i literackiego (ku zaskoczeniu Beneficjenta)

– bez których nie byłoby pełnego wyrazu i kolorytu postaci Grupińskiego oraz obrazu całej uroczystości. Głos zabrało kilka znamiennych osób, m.in. Prezeska Stowarzyszenia Pisarzy Polskich prof. Anna Nasiłowska. Jubilat przyjął jej słowa z dużym wzruszeniem.

W podniosłej, ale i ciepłej, serdecznej atmosferze upłynęły prawie dwie godziny. Oprawa muzyczna była wręcz wyszukana. Dwukrotnie z krótkim koncertem wystąpiła skrzypaczka Milena Pioruńska – jej gra zapisała się na dłużej zapewne nie tylko w mojej pamięci.

„Protokół Kulturalny” nr 96 oraz książka „Epiki towarzyskie i kilka wierszy osobistych” Jerzego Grupińskiego zapraszały do lektury. Autograf w okolicznościach tej wyjątkowej uroczystości, opatrzony jej datą był po prostu bezcenny. Zarówno poezja jak i proza Grupińskiego – jeśli ktoś jeszcze nie czytał – zasługuje na uwagę swoją wartością. Jest autorem siedemnastu tomów poetyckich. W roku 2022 wydał opowieść autobiograficzną „Chleb od zająca” (Bogucki Wydawnictwo Naukowe). A jeszcze – redaktor w ciągu kilku dziesięcioleci almanachów, antologii i prawie stu numerów kwartalnika „Protokół Kulturalny”.

Podkreślić należy, że bardzo licznie przybyli członkowie „Dąbrówki” oraz przyjaciele, przedstawiciele placówek kultury, oświaty i stowarzyszeń. Obecni byli także członkowie Związku Literatów Polskich Oddział w Poznaniu, w tym zarząd oddziału. Gratulacje, życzenia, kwiaty i upominki długo przyjmował wzruszony Jerzy Grupiński.



Fot. Margaret Szczesna

**Benefis Jerzego Grupińskiego
w Bibliotece Raczyńskich w Poznaniu**

W końcówce lat dziewięćdziesiątych XX wieku i w pierwszych latach obecnego wieku kilkakrotnie bywałam z pewnym gronem osób w Centrum Kultury Zamek podczas spotkań, przysłuchiwałam się i przyglądałam. Wcześniej, w 1995 lub 1996 roku pojechałam do Poznania (CK Zamek) – z racji przyznania mi wyróżnienia w jakimś konkursie czy turnieju. Wtedy poznałam Jerzego Grupińskiego. Kilka osób czytało wiersze, w tym ja, a potem doświadczyłam zazdrości niepokieszonej poetki, zachowującej się w sposób obcesowy, zbulwersowanej wierszem o narkomanach. Kilka lat później rozpoznałam ją pośród członków mojego macierzystego poznańskiego oddziału ZLP...

Anna Andrych

Grażyna Danuta Drobnicka

Świadectwo działalności bandy UPA

Fragment pamiętnika „Drogami mojego życia – z Kut nad Czeremoszem na Zachód Polski”, autorstwa Grażyny Danuty Drobnickiej z domu Broszkiewicz.

Jesienią 1942 roku, zaczęły docierać do nas wieści o przypadkach zamordowania pojedynczych osób. Najbardziej, w naszym domu omawiano przypadek zamordowania w okrutny sposób nauczycielki z wiejskiej szkoły, którą znali moi rodzice. Było to niedaleko Kut, w górach. Znalezione ją w rowie, niedbale czymś przykrytą. Miała odcięte piersi, wydłubane oczy, odcięty język, całe ciało podgłazane nożem. Dla nas było to niepojęte bestialstwo.

PAMIĘTAJĄCIE: Byliśmy naoczniymi świadkami napadu ukraińskich „rizunów” z bandy UPA na nasz dom i świadkami śmierci Stefana Broszkiewicza – męża Marii Broszkiewicz (w niektórych źródłach – Szczepana Broszkiewicza) i jego brata Władysława Broszkiewicza. Powrót pamięcią do tamtych czasów, przy opisywaniu tych wydarzeń jest dla mnie bardzo bolesnym przeżyciem. Przez 30 lat nie mogłam o tych wydarzeniach nawet mówić. Do dziś stoją przed moimi oczami koszmarnie obrazy, których nikt z mojego umysłu nie jest w stanie wymazać. Okres opisany to przedwiośnie – 28 marca 1943 roku. Miałam wtedy 10 lat i 4 miesiące, mój brat, Wiktor Broszkiewicz – 13 lat. Była to pierwsza rzeź Polaków w naszej okolicy po zlikwidowaniu Żydów – sygnał, że Ukraińcy wcielają w życie swój program oczyszczenia Kresów z Polaków i Ormian. W ostatnią noc wymordowali tych, których się bali, tj. z utrwaloną pozycją społeczną.

Był dość ciepły, jak na przedwiośnie, wieczór. Tatuś – Stefan Broszkiewicz, mamusia – Maria Broszkiewicz i my – dzieci: ja – Danusia Broszkiewicz i brat – Wiktor Broszkiewicz, siedzieliśmy na ławce przed domem i rozmawialiśmy. Widać było łunę, zastanawialiśmy się – co płonie. Potem okazało się, że palił się most na rzece Czeremosz i tartak, które podpalił Ukraińcy z bandy UPA. Było tak jasno, że można było mak zbierać. Dochodziła godzina 23.00, tatuś zwrócił się do mamusi, mówiąc:

– Marychna, chodźmy już spać.

W północnej części domu spała już moja babcia Anna Broszkiewicz i ciocia Malwina Mekan. Dom był zamknięty. Przed położeniem się do łóżek, zasłoniłam w sypialni trzy duże okna (kapami zdjętymi z łóżek i przypiętami żabkami od firanek). O godzinie 23.30 napadli na nasz dom, było ich około 30. Siekierami i kolbami karabinów wybijali szyby w oknach, świecili latarkami. Pierwsza obudziła się mamusia, powiedziała:

– Stefan, my już nie żyjemy!

W sypialni pod łóżkiem była mała piwnica, w której czasem przechowywano przetwory. Była pusta. Mamusia do tej piwnicy kazała wskoczyć bratu i położyć się na ziemi. Na nim położyła mnie i przykryła nas swoim ciałem. Piwniczka jednak nie domknęła się. W tym czasie, od strony podwórka, banda wyłamała drzwi wejściowe do domu. Weszli do sypialni babci i pokoju cioci. Ciocia – Malwina Mekan, uciekała ze swojego pokoju, przez pokój babci i kuchnię do nas – w stronę naszej sypialni. Strzelono do niej. Dostała kulę rozrywającą (zwaną „dum dum”) w twarz. Upadła przy naszym łóżku, domykając swym ciałem wieko piwniczki. Krew ciekła jej z twarzy, leżąc udawała trupa. Jeden z bandytów powiedział:

– Już jeden trup jest.

O babci, dowodzący powiedział: – tę starą zostawcie, ona sama zdechnie. W tym czasie tatuś odsunął szafę, otworzył schowek, wyjął złote monety i biżuterię – oddając im powiedział: – Wszystko bierzcie, tylko życie darujcie. A oni na to: Gdzie jest żona i dzieci?

– Ich nie ma w domu, pojechali do Kłomyjki.

– Kiedy wrócą?

– Jutro – odpowiedział tatuś.

Na to jeden z nich – podpalaj dom! Inny – nie, zostaw jeszcze oni wrócą. Następnie kazali ojcu pokazać gdzie jego brat mieszka.

Popychali tatusia, po drodze kłuli nożami. Próbowali uciekać, dopadli go i zamordowali w rowie. Potem przeciągnęli ciało i rzucili na podwórko, koło studni.

Kiedy wyszliśmy z piwniczki, podbiegliśmy do tatusia – leżał na brzuchu, wszędzie była krew. Przytuliłam się do niego, zdawało mi się, że ciało jeszcze drga. Miał rany wszędzie, na rękach, na nogach, na całym ciele. Naliczyłam 35 ran od pchnięcia nożem.

Od tego napadu już nigdy nie nocowaliśmy w domu. Z obu stron naszego domu, w pewnej odległości, sąsiadami były rodziny ukraińskie. W pierwszą noc po morderstwie, mamusia zwróciła się z prośbą o przenocowanie nas do rodziny Charuka. Zgodził się z wahaniem. Wieczorem zaniósł do jego domu nasze pierzyny – było zimno, a pomieszczenie nie było ogrzewane. Gospodarz nie kładł się spać, a nad ranem, zbudził mamusię, mówiąc:

– Pani Marysiu, moi trzej synowie, nie poszli do rodziny, są w bandzie. Boję się, że jeśli przyjdą do domu, może nie sami, to nas wszystkich wymordują.

Prerażona mamusia zostawiła wszystko, zabrała nas i resztę nocy przesiedzieliśmy w sianie, na strychu stajni. Rodzina Charuków została później wywieziona przez Rosjan na Sybir.

W czasie napadu banderowcy zabrali z naszego domu m.in. naszą odzież. Mój brat, Wiktor Broszkiewicz, nie miał żadnych

butów. Owijał sobie nogi szmatami i obwiązywał sznurkiem. Sąsiad z drugiej strony naszego domu, Ukrainiec Josyf, był szewcem. Dał bratu buty swojej najstarszej córki, ale przenocować nas nie chciał, bał się Banderowców. W tej sytuacji mamusia nocowała z nami w dekunkach – były to głębokie rowy wykopane dla celów wojskowych przez żołnierzy węgierskich, którzy współpracowali z Niemcami. Wzięliśmy z naszego domu chodniki i koce, w które się owijaliśmy, także owijaliśmy chleb i cukier. Podczas snu przykrył nas śnieg. Tak spędziliśmy dwa tygodnie.

Kuzyn nasz, Joan Broszkiewicz, chował się w Łęgach nad Czeremeszem. W chwilach krytycznych wchodził do wody, chowając głowę w krzaku wikliny. Do zimnej wody bandyci nie wchodził – tak przeżył.

Podkreślić muszę masowe inspiracje zbrodni przez ukraiński kler. Pozbawiło to morderców wszelkich oporów moralnych. Spowodowało nieludzki sposób mordowania Polaków – tortury, gwałty, perwersyjne męczenie ofiar, hańbienie ich przed śmiercią.

Potwierdzam straszny, niewyobrażalny dla chrześcijaństwa fakt święcenia narzędzi zbrodni. Dowódca duchowy bandytów – ksiądz grekokatolicki z Kut, Roman Zakrzewski – „Zakreuski”, na zorganizowanej uroczystości w cerkwi święcił: noże, siekiery, kosy, pistolety, karabiny. Mówili nam o tym w tajemnicy znajomi Ukraińcy z Kut i Polacy, którzy to widzieli, bo mieszkali obok cerkwi. [...]

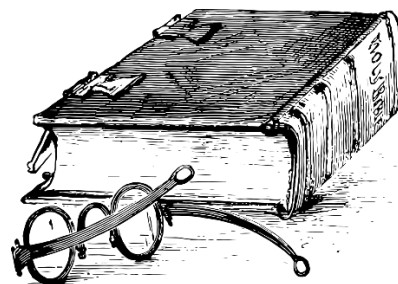
Złowieszczym znakiem było usypywanie kurhanów, stawianie krzyży, święcenie chleba i dzielenie się nim przy śpiewach: „Śmierć, śmierć Lachom”, co znaczy: „Śmierć, śmierć Polakom”.

Po wkroczeniu Niemców do Lwowa, w czerwcu 1941 roku, metropolita Szeptycki w listach wyrażał wdzięczność za oswobodzenie, pisał:

„Z woli Najwyższego i Najsilniejszego Boga rozpoczyna się nowa era w życiu państwowym sobornej, samostijnej Ukrainy”.

Wzywał do odprawiania modłów dziękczynnych za pomyślność niemieckiego oręza. [...]

Oprac. Kazimiera Szczukutowicz



Kozetka (127)



Viva l'arte

*Zwróć twarz ku słońcu,
a cień zostanie za Tobą.*

Przysłowie chińskie

Joanna Friedrich

Kochani, wyszłam z szafy trochę bliżej do świata. Zresztą świat też do mnie bliżej przyszedł i otoczył śródziemnomorskimi temperaturami. Młodzieńcze marzenie o mieszkaniu na Costa del Sol i studiowaniu w Madrycie zmaterializowało się bynajmniej pod względem klimatu. Cieszę się na każdy deszcz, razem z puszczą i jej mieszkańcami.



Klon pod domem rozbrzmiewa trzecim miotem kosów. Znajoma locha ostrzega jedynym chrumknięciem "mam młode", kolejne pokolenie bambików przemyka pomiędzy

drzewami, dostosowując umaszczenie, jak jakiś nowoczesny, nieznany program komputerowy.

Zdobycie świata sprowadza się do smaku miodu, smaku białego sera i zapachu ogórka małosolnego. Sosny kąpią się w blasku wschodzącego słońca. Viva l'arte. W kwiecie wieku zaczęłam doceniać paletę barw środkowej Europy. Przejechać się łąkami słoneczników nie tylko w Prowansji. Pierwsze mgły, ogromne cukinie, ulubiona odmiana winogron. Wszystko wszędzie jest możliwe. Pan Mieciu w budce obok, oprócz halibutów smaży kalmary: Lepiej być nie może.

Jesteśmy wszak miejscowością letniskową, zbiorem marzeń przybyszy i tubylców. Śnimy, marzymy, wierzymy i jesteśmy.

A we wrześniu nie musimy iść do szkoły, zrobią to za nas nasze dzieci. Może dorosłość wcale nie jest przereklamowana? Przekonajmy się o tym jesienią (życia).



I Konkurs Poetycki im. Małgorzaty Hillar

Na konkursowej mapie literackiej Polski pojawiła się nowa impreza. To konkurs poetycki im. Małgorzaty Hillar. Pora jak najbardziej właściwa. W tym roku obchodzimy setną rocznicę urodzin znakomitej poetki pochodzącej z okolic Starogardu Gdańskiego. Inicjatorem całości jest poeta Mateusz Brucki, który od kilku lat marzył o tym konkursie i starał się go urzeczywistnić. Atrakcyjne nagrody finansowe i piękna statuetka sprawiły, że jak to mówią konkurs wszedł na literackie salony z futryną. Jurorzy otrzymali do oceny 214 zestawów i obradowali zdalnie ponad tydzień ograniczając ilość czytanych zestawów, wreszcie układając kolejność godeł.

Wręczenie nagród nastąpiło 25 lipca we wspaniałym Centrum Kazimierza Deyny. Sześć dni po Mundialu, na którym nie mogliśmy kibicować naszej drużynie. Pozostały więc sentymentalne wzruszenia i wspomnienia naszej srebrnej drużyny orłów Górskiego, którymi dowodził Pan Kazimierz Deyna.

Spotkanie uświetnił koncert poezji śpiewanej duetu Natalia Cywińska i Szymon Brucki, w którego drugiej części usłyszeliśmy wiersze patronki konkursu. Muzykę skomponowali śp. Radosław Ciecholewski i wspomniany Szymon Brucki. Gałę wręczenia nagród poprowadzili: Błażej Kośnik oraz Marek Krasieński (jak dodać nie mylić z Ignacym Krasickim, Zygmuntem Krasieńskim, Józefem Ignacym Kraszewskim), a ja dodam, że tym bardziej z Jankiem Krasickim pseudo Mały Franek, co najlepiej wyjaśnia najnowsza historia.

Oprócz zestawów nadesłanych z różnych stron naszego kraju wpłynęły również prace z Norwegii, Malty, Szkocji, Anglii, z Niemiec i z Włoch.

Jury w składzie: Jerzy Fryckowski (przewodniczący), Zdzisław Drzewiecki (członek), Wioletta Arleta Jaworska (członkini) wyłoniło grono laureatów.

Wyróżnienia otrzymały: Agnieszka Mochyłowska z Kaźmierza, Aleksandra Dybowska z Pruszkowa, Dominika Baraniecka z Poznania. Każda z lauratek otrzymała nagrodę finansową w wysokości 500 zł. III miejsce i nagrodę w wysokości 1.000 zł otrzymał Grzegorz Chwieduk z Kępic, II miejsce i nagrodę w wysokości 1.500 zł otrzymała Anna Piliszewska z Wieliczki, zaś I miejsce, statuetkę „Złotej Kropli Słońca” (wykonaną przez starogardzkiego artystę Michała A. Majewskiego) i nagrodę w wysokości 2.000 zł otrzymał Grzegorz Paczkowski z Warszawy.

Osobna kapituła jurorska wyłoniła zwycięzcę w kategorii „Kociewie” za zestaw wierszy inspirowany życiem i twórczością patronki konkursu – Małgorzaty Hillar. Laureatem został Maciej Proksa ze Szczecina. Do ostatnich chwil tygodniowego czytania były brane pod uwagę jeszcze następujące godeł: *piękna, pióroczapka, Krokusy, Piołun, PRZEŚWIT, MEWA, Baranek, Antony Dalton, Tantra, Widmo Brockenu, Zofia, Niedopita kawa, Zwykła herbata z cytryną, HILLAR M, czereśnia, Piotr Sobecki, xeres, OPAL, Iskariota.*



Fundatorką nagród finansowych była Maria Żywicka-Luckner „Majka” – wiceprezes Unii Polskich Pisarzy Lekarzy i członkini Warszawskiego Stowarzyszenia Twórców Kultury.

Ponadto laureaci otrzymali unikatową publikację nagrodzonych zestawów w formie widokówek oddających piękno Kociewia. Publikację przygotował prezes Fundacji OKO-LICE KULTURY – Lech. J. Zdrojewski będący jednocześnie autorem zamieszczonych tam fotografii.

(Dokończenie na stronie 23)

Rozmyślania



Fot. Andrzej Walter

Ludzie, po których zostają góry

*Są takie telefony, których człowiek nigdy nie chciałby odebrać. Są takie wiadomości, które w jednej chwili zatrzymują czas, odbierają mowę i każą długo patrzeć w milczeniu przed siebie. Tak było i tym razem. Kiedy dotarła do mnie wiadomość o **Andrzeju Krzysztofie Torbusie**, przez dłuższą chwilę nie potrafiłem uwierzyć. Przecież jeszcze tak niedawno rozmawialiśmy. Jeszcze tak niedawno wymienialiśmy maile. Jeszcze tak niedawno wspominaliśmy ludzi, których już z nami nie ma, jakbyśmy naiwnie wierzyli, że nam samym dano jeszcze wiele wspólnych lat. Nie było. Andrzej zmarł 27 lipca 2026 roku... w Krakowie... Miał 76 lat.*

Andrzej Dębowski

Odchodzą poeci. Odchodzą przyjaciele. Odchodzą ludzie, którzy przez dziesięciolecia tworzyli krajobraz naszego życia. A wraz z nimi odchodzą miejsca, rozmowy, śmiech, wspomnienia i ten szczególnie rodzaj ciepła, którego nie da się już odnaleźć w nikim innym.

Z Andrzejem znaliśmy się ponad trzydzieści pięć lat. To nie była znajomość z literackiego salonu ani przypadkowa relacja z kilku festiwalu. To była przyjaźń budowana przez dziesiątki spotkań, setki rozmów telefonicznych, niezliczone wiadomości, wspólne biesiady, także przy wódce, dyskusje o poezji, o Polsce, o górach, o ludziach. Przyjaźń, która dojrzewała powoli, bez deklaracji, za to z ogromnym zaufaniem.

Poznaliśmy się w Ciężkowicach. Jakże odległy wydaje się dziś tamten czas. Byliśmy młodszy, pełni literackich marzeń, przekonani,

że poezja może jeszcze zmieniać świat. Wokół kręcili się poeci z całej Polski. Wśród nich Henio Cyganik, Staś Franczak i Andrzej Torbus. Już po kilku godzinach rozmów wiedziałem, że spotkałem człowieka niezwykłego. Nie dlatego, że imponował erudycją. Nie dlatego, że miał za sobą sukcesy, których przecież nie brakowało. Urzekł mnie czymś znacznie cenniejszym – swoją prostotą. Był jednym z tych ludzi, którzy nie noszą masek. Nie udawał wielkiego poety, choć nim był. Nie budował dystansu, choć mógł. Nie otaczał się murem własnej legendy. Siadał obok człowieka i rozmawiał tak, jakby znali się od dzieciństwa. Już wtedy pomyślałem, że to ktoś, z kim warto iść przez życie. Nie pomyliłem się.

Przez następne dziesięciolecia nasze drogi przecinały się nieustannie. Spotykaliśmy się na festiwalach, konkursach poetyckich, promocjach książek, wieczorach autorskich i zjazdach Związku Literatów Polskich. Czas płynął, zmieniały się miejsca, zmieniali się ludzie, ale Andrzej pozostawał taki sam. Pogodny. Dowcipny. Serdeczny. I niewiarygodnie dobry. Do dziś nie potrafię przypomnieć sobie sytuacji, w której odmówiłby komuś pomocy. Nigdy nie słyszałem z jego ust pogardy wobec młodych poetów. Nie wyśmiewał debutantów. Nie zazdrościł sukcesów kolegom. Umiał cieszyć się cudzym szczęściem, a to przecież jedna z najrzadszych cech ludzi naprawdę wielkich. Kiedy dzwonił telefon i na wyświetlaczu pojawiał się jego nazwisko, wiedziałem, że czeka mnie dobra rozmowa. Nigdy krótka i zawsze pełna humoru, często rubasznego...

Rozmowy z Andrzejem miały własny rytm. Zaczynały się od zwyczajnego: „Co słychać?”, a po kilku minutach byliśmy już w Beskidzie lub pod bieszczadzkim niebem, przy Harasymowiczu, przy starych poetach, przy nowych książkach, przy sprawach Związku Literatów Polskich, przy polityce, przy codzienności, przy rodzinie. Potrafiłmy rozmawiać godzinami. Takich rozmów nie zapisuje żadna historia literatury. One istnieją tylko w pamięci przyjaciół. I dlatego są bezcenne.

Jeszcze więcej było maili. Czasem krótkich. Czasem długich jak eseje. Wysyłał mi swoje wiersze. Czytaliśmy wzajemnie swoje teksty. Komentowaliśmy książki. Dyskutowaliśmy o autorach. Bywało, że nie zgadzaliśmy się ze sobą, ale nigdy nie przestawaliśmy się słuchać. To była rozmowa ludzi, którzy naprawdę kochali literaturę. Kiedy przyjeżdżałem do Krakowa, niemal zawsze znajdowaliśmy czas, żeby spotkać się w „Pod Jaszczurami”. Dzisiaj wielu młodych ludzi nie rozumie już, czym były takie miejsca. To nie był zwykły klub. To był fragment historii polskiej kultury. Siadaliśmy przy piwie. Czasem było nas kilku, czasem tylko we dwóch. Rozmowy trwały długo, czasami za długo... Nie spieszyliśmy się. Każda anegdota prowadziła do następnej. Każde wspomnienie otwierało kolejne drzwi pamięci.

Andrzej miał niezwykły dar opowiadania. Potrafił zwyczajną historię zamienić w małą balladę. Nie wiadomo było, gdzie kończy się fakt, a zaczyna poezja. Ale właśnie taki był. Nawet w codzienności widział coś więcej niż inni. Miał duszę bajora, wyobraźnię dziecka, serce człowieka, który nigdy nie przestał się za-

chwycać światem. Pamiętam nasze rozmowy o Jerzym Harasymowiczu. Dla obu był kimś więcej niż tylko poetą. Był punktem odniesienia, był mistrzem. Po jego odejściu długo zastanawiałem się, kto potrafi przejąć ten niezwykły sposób patrzenia na krajobraz. Kto umie słuchać drzew, gór, rzek i wiatru, kto potrafi pisać o przyrodzie tak, żeby nie była dekoracją, ale bohaterem. Zawsze wracałem do jednego nazwiska – Andrzej Krzysztof Torbus. Dla mnie właśnie on stał się najwybitniejszym polskim poetą pejzażu po śmierci Jerzego Harasymowicza. Nie dlatego, że próbował go naśladować. Nigdy tego nie robił. Był zbyt mądrym poetą. On po prostu odnalazł własną ścieżkę prowadzącą przez te same góry. Szedł nią spokojnie. Bez hałasu, bez literackiej reklamy, bez potrzeby udowadniania komukolwiek swojej wielkości. A przecież był wielki. Naprawdę wielki.

Był poetą osobnym. W czasach, kiedy wielu autorów za wszelką cenę próbowało zaskoczyć czytelnika formalnym eksperymentem, epatowało intelektualnymi łamigłówkami albo zamykało poezję w hermetycznych konstrukcjach zrozumiałych wyłącznie dla wąskiego grona wtajemniczonych, Andrzej szedł własną drogą. Nie oglądał się na mody. Nie interesowały go literackie sezonowe zachwyty ani środowiskowe układy. Wiedział, że poezja ma przede wszystkim mówić do człowieka. I mówiła. Mówiła językiem prostym, ale nigdy prostackim. Pełnym metafor, lecz nigdy wydumanych. Pięknym, lecz pozbawionym sztucznej ozdobności. W jego wierszach wszystko miało swoje miejsce. Każde słowo było przemyślane, każde porównanie wyrastało z doświadczenia, a każda metafora zdawała się rodzić z krajobrazu, który nosił w sobie od zawsze. Był prawdziwym sztukmistrzem metafory. Niewielu poetów potrafiło tak zonglować obrazami, nie popadając przy tym w przesadę. U Andrzeja metafora nigdy nie była popisem. Była naturalnym oddechem poezji. Czytając jego wiersze, miałem wrażenie, że świat naprawdę wygląda właśnie tak, jak go opisał. Jakby drzewa mówiły jego językiem, jakby potoki znały jego rytm, jakby góry od wieków czekały właśnie na niego, aby ktoś wreszcie oddał im głos.

Po śmierci Jerzego Harasymowicza wielu próbowało wejść w przestrzeń poezji pejzażowej. Jedni kopiowali jego sposób obrazowania, inni zachowywali się powierzchownym podobieństwem. Andrzej nie zrobił ani jednego, ani drugiego. On nie szedł śladami Harasymowicza. On odnalazł własną ścieżkę prowadzącą przez Beskidy, Bieszczady, połoniny i doliny, których piękno nosił w sercu. Nie dlatego, że pisał o górach. Wielu pisze. On sprawiał, że góry same zaczynały pisać. W jego balladach wiatr miał twarz starego wędrowca, mgła stawała się pamięcią minionych pokoleń, kamienie przechowywały ludzkie sekrety, a drzewa pamiętały imiona tych, którzy dawno odeszli. To była poezja zakorzeniona w naturze, ale jednocześnie głęboko humanistyczna. Człowiek nigdy nie dominował w niej nad światem. Był tylko jego częścią. Dlatego jego utwory tak pięknie odnajdywały się również w piosence.

(Dokończenie na stronie 16)

Ludzie, po których zostają góry

(Dokończenie ze strony 15)

Nie dziwiło mnie nigdy, że po jego teksty sięgali wykonawcy, że zdobywały nagrody na Studenckiej Giełdzie Piosenki Turystycznej, że rozbrzmiewały w Opolu i na niezliczonych festiwalach. W jego słowach od początku była muzyka. Nie ta zapisana w nutach, lecz ukryta w rytmie zdań, w oddechu wersów, w pulsowaniu języka. A przecież obok poezji pisał także prozę, książki dla dzieci, teksty piosenek. Był twórcą wszechstronnym, ale nigdy nie odnosiłem wrażenia, że chce cokolwiek komukolwiek udowodnić. Tworzył, bo nie potrafił nie tworzyć. Tak właśnie rozumiał literaturę. Nie jako zawód, nie jako drogę do sławy, lecz jako sposób życia. Bardzo często wracam myślami do naszych spotkań w Krakowie. Ileż razy umawialiśmy się właściwie bez planu. „Jestem w mieście” – pisałem albo dzwoniłem. „To chodźmy do Jaszczurów” – odpowiadał niemal natychmiast. I szliśmy. Nie pamiętam już nawet, ile piw wspólnie wypiliśmy. Nie pamiętam wszystkich tematów rozmów, ale pamiętam atmosferę. Pamiętam ten niezwykle spokojny, który od niego emanował. Pamiętam śmiech. Pamiętam błysk w oczach, kiedy opowiadał kolejną historię. Pamiętam jego serdeczność wobec kelnerów, przypadkowo spotkanych ludzi, młodych poetów, którzy z nieśmiałością podchodzili się przywitać.

Nigdy nikogo nie zbywał, nie dawał odczuć, że jest od kogokolwiek ważniejszy. Właśnie dlatego był ważny. Był człowiekiem, który nie nosił w sobie cienia pychy. To dziś cecha niemal wymarła. Im bardziej ktoś staje się rozpoznawalny, tym częściej zaczyna wierzyć we własną wyjątkowość. Andrzej zachował niezwykłą pokorę. Może dlatego, że wiedział, iż wobec gór wszyscy jesteśmy mali. Może dlatego, że literatura nauczyła go słuchać bardziej niż mówić.

Ostatni raz spotkaliśmy się podczas mojego wieczoru autorskiego w Klubie Dziennikarza „Pod Gruszką”. Dzisiaj wracam do tamtego spotkania z ogromnym wzruszeniem. Wtedy wydawało się jednym z wielu. Dziś wiem, że każde wspólne spotkanie jest darem, którego wartości człowiek najczęściej uświadamia sobie dopiero po czasie. Rozmawialiśmy jak zawsze. Bez pośpiechu, bez wielkich słów. Śmialiśmy się. Planowaliśmy kolejne spotkanie, bo przecież zawsze wydaje się nam, że czasu będzie jeszcze dużo, że zdążymy, że jeszcze nie raz usiądziemy przy tym samym stoliku, że może jeszcze zadzwoni telefon, jeszcze przyjdzie mail z nowym wierszem. Życie jednak nie pyta nas o zgodę. Piszę własne zakończenia. I właśnie z tego powodu tak bardzo boli świadomość, że pewnych rozmów już nigdy nie dokończymy.

Coraz częściej łapię się na tym, że zamiast mówić o teraźniejszości, opowiadam o ludziach, których już nie ma. Jakby moja pamięć

stawała się coraz obszerniejszą biblioteką, a półki z napisem „obecni” kurczyły się z roku na rok. Otwieram kolejne tomy wspomnień i widzę twarze. Słyszę głosy. Wracają miejsca, zapachy, gesty. Wśród nich zawsze jest Andrzej. Nie jako pomnik, nie jako nazwisko z encyklopedii, nie jako laureat konkursów, autor tomików, twórca piosenek czy współzałożyciel legendarnej Grupy Poetyckiej „Tylicz”. Widzę przede wszystkim człowieka.

To właśnie człowiek jest największym dziełem swojego życia. Można napisać setki wierszy. Można zdobyć najważniejsze nagrody. Można przejść do historii literatury. A jednak po latach najczęściej pamięta się nie książki, lecz dobroć. Nie recenzje, lecz uśmiech, nie tytuły, lecz serdeczność. Takiego Andrzeja zapamiętam. Człowieka, który nigdy nie odmawiał rozmowy, który miał czas dla ludzi, który nie pytał, co zyska, ale co może ofiarować, który potrafił słuchać z taką samą uwagą debiutanta, jak słuchał uznanego poety, który nigdy nie zamknął się we własnej legendzie.

Dzisiaj takich ludzi jest coraz mniej. Świat stał się głośniejszy, bardziej nerwowy, bardziej zachłanny. W literaturze także coraz częściej zwycięża krzyk zamiast skupienia, autopromocja zamiast pokory, efekt zamiast prawdy. Andrzej należał do innego pokolenia. Do ludzi, którzy wierzyli, że najpierw trzeba być przyzwoitym człowiekiem, a dopiero później poetą. I może właśnie dlatego jego poezja nigdy się nie zestarzeje, bo była prawdziwa, nie powstała z mody, nie próbowała nikomu przypodobać się za wszelką cenę. Była wierna sobie. Tak jak wierny sobie był jej autor. Nie zapomnę jego uporczywego podkreślania, że urodził się w Sosnowcu i że jest z Zagłębia, a nie ze Śląska. Mówił o tym z charakterystycznym uśmiechem, ale i z przekonaniem człowieka mocno zakorzenionego w swojej małej ojczyźnie. Potem przyszedł studia na Uniwersytecie Jagiellońskim, Kraków, środowisko literackie, Grupa „Tylicz”, kolejne książki, kolejne spotkania z czytelnikami. A jednak nigdy nie odciął się od swoich korzeni. Nosił je w sobie z dumą i z czułością. Zawsze podziwiałem tę wierność. Może dlatego jego wiersze miały w sobie tyle autentyzmu. Nie pisał o świecie wyobrażonym. Pisał o świecie przeżytym. I właśnie dlatego potrafił poruszać. Wiem, że jeszcze nieraz będę odruchowo chciał do niego zadzwonić, że kiedy zobaczę piękną połoninę, beskidzki las, mgłę osiadającą na dolinie albo jesienne buki płonące czerwienią, pomyślę: „To jest pejzaż dla Andrzeja”. Będę chciał wysłać mu zdjęcie, dopisać kilka zdań, zapytać, co właśnie pisze, a potem przypomnę sobie, że nie każda rozmowa może mieć ciąg dalszy, że nie każda przyjaźń kończy się kolejnym spotkaniem. Niektóre kończą się pamięcią, ale pamięć także potrafi być formą obecności. Dopóki wspominamy ludzi, którzy byli dla nas ważni, dopóty oni naprawdę nie odchodzą. Zostają w naszych gestach, w naszych słowach, w sposobie patrzenia na świat. Ile razy dziś zatrzymuję się nad wierszem o górach, tyle razy słyszę gdzieś w tle głos Andrzeja. Nie dlatego, że go naśladowę. Dlatego, że nauczył mnie patrzeć uważniej. Patrzeć nie tylko na krajobraz, ale patrzeć na człowieka.

Myślę dzisiaj również o całym naszym pokoleniu. O poetach, z którymi przemierzałem Polskę od festiwalu do festiwalu, od domu kultury do domu kultury, od biblioteki do biblioteki. Jak wiele twarzy zniknęło już z tej drogi – to już idzie w dziesiątki... Każde odejście pozostawia pustkę, której niczym nie można wypełnić. Literatura trwa. Książki zostają. Ale przyjaźni nie da się dodrukować. Nie można wznowić wspólnej rozmowy, można dopisać kolejnego wieczoru przy piwie w „Pod Jaszczurami”, nie można cofnąć czasu. Można tylko dziękować.

Dziękuję Ci więc, Andrzeju, za te wszystkie lata. Za rozmowy, które często były ważniejsze niż niejedna konferencja literacka, za telefony, które poprawiały humor, za maile, które przychodziły zawsze w odpowiednim momencie, za spotkania w Krakowie, za Ciężkowice, za Żelów, za wspólne wieczory autorskie, za śmiech, za anegdoty, za Twoją dobroć, za życzliwość, za skromność, za niepowtarzalne poczucie humoru. Dziękuję za to, że nigdy nie musiałem się zastanawiać, czy mogę do Ciebie zadzwonić. Wiedziałem, że po drugiej stronie zawsze będzie przyjaciel.

Dziękuję również za Twoją poezję. Za to, że nauczyłeś mnie jeszcze mocniej kochać krajobraz, za to, że pokazałeś, iż metafora nie jest ozdobą, lecz sposobem widzenia świata, za to, że przypomniałeś wszystkim, iż prawdziwa poezja nie potrzebuje krzyku. Wystarczy szept, wiatr, jedno dobrze zapisane zdanie. Jestem przekonany, że polska literatura zapamięta Andrzeja Krzysztofa Torbusa jako wybitnego poetę. Takiego, który nie szukał rozgłosu, ale prawdy. Takiego, który potrafił z kilku słów zbudować cały świat. Takiego, którego wiersze pachną lasem, mokrą ziemią, dymem z ogniska, jesiennym liściem i beskidzkim wiatrem.

Ja jednak zapamiętam go przede wszystkim inaczej. Jako człowieka. Jako przyjaciela. Jako brata-łate wszystkich poetów.

Kiedy powiedziałem, że po śmierci Jerzego Harasymowicza to właśnie Andrzej Krzysztof Torbus stał się najwybitniejszym polskim poetą pejzażu. Dzisiaj powtarzam te słowa z jeszcze większym przekonaniem. Nie dlatego, że odszedł. Nigdy nie wierzyłem w zwyczaj wynoszenia ludzi na piedestał dopiero po ich odejściu. Mówiłem to od lat i nadal tak uważam. Bo jego poezja nie była opisem gór. Ona sama była górami. Nie była opowieścią o wietrze. Ona sama była wiatrem.

Nie była pejzażem. Była jego duszą. Dlatego jestem spokojny. Poeci naprawdę nie umierają.

Odchodzą tylko ci, którzy ich znali. Oni sami zostają. W swoich książkach. W pieśniach.

W pamięci przyjaciół. W szelestach bukowych lasów. W zapachu połonin. W ciszy beskidzkich dolin.

Ileokroć ktoś otworzy tomik Andrzeja Krzysztofa Torbusa, gdzieś nad górami znowu powieje ten sam wiatr, który prowadził go przez całe życie.

Do zobaczenia, Przyjacielu!

Tam, gdzie wszystkie ścieżki w końcu prowadzą na jedną, najwyższą połoninę.

Andrzej Dębowski

Rafał Nowocien

Między fotografią a metaforą

Zbiór poezji *Pod ramię z cieniami* autorstwa **Leszka Lisieckiego** od pierwszych stron ustawia czytelnika w przestrzeni, w której poezja i fotografia nie są dwiema osobnymi sztukami, tylko jednym, wspólnym sposobem mówienia o świecie. Albowiem to, co dzieje się w obiektywie, dzieje się również w wierszu, a to, co zaistniało w wierszu, ma ambicję być widziane jak kadr. Dzięki temu jawi się jako konsekwentnie zbudowana opowieść o tym, że człowiek może przeciwstawić się przemijaniu wyłącznie poprzez akt uważnego postrzegania, które jednocześnie rejestruje świat i osądza jego kruchość. Fotografia i wiersz działają tu jak podwójna migawka pamięci, zatrzymująca „odpryski” chwil, gdy wszystko już zaczyna się rozmywać w mgielnej niepamięci. Tę tezę można udowodnić idąc za przesłaniem tomu, który nieustannie powraca do rytuału utrwalania i zapamiętywania, do rekonstrukcji utraconych miejsc i relacji, do mierzenia się z czasem jako siłą mechanicznie obojętną, ale psychicznie miazdzącą, oraz do odkrycia, że jedyną realną odpowiedzią, czy wręcz ratunkiem, jest człowiek. I nie chodzi tu o abstrakcyjny byt, wyekstrahowany z realnego istnienia, lecz istotę konkretną i bliską.

Dlatego wiersz otwierający tom (*Uwolnienie migawki*) nie jest przypadkową impresją, lecz deklaracją metody, której autor będzie wierny przez cały tomik: *fotografia niczym krótka metafora / zatrzymana w pół znaczenia*. W tym samym utworze, swego rodzaju programowym *credo*, powraca kluczowe rozpoznanie, że każde uchwycenie ulotnej chwili jest jednocześnie zapisem straty, bo to, co zostało utrwalone (w wierszu, w fotografii) już się oddała i nie wróci w tej samej postaci: *kolejne zwolnienie migawki / tworzy akapit nowego cytatu // utrwalony odprysk / przemijającej rzeczywistości*.

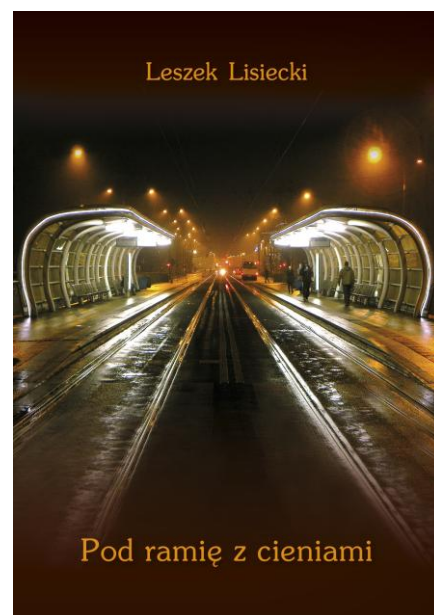
W wierszu *Nie nadążam* autor pokazuje, jak rytuały społeczne – życzenia, urodziny, plany – rozpadają się jak śnieg na dłoni, bo nie utrzymuje ich żadna trwała struktura, tylko mechanika kalendarza: *spóźnione życzenia / sypią się płatkami grudniowego śniegu / a potem pojedynczo topnieją*, a zaraz potem doprecyzowuje, że nawet rytualne słowa pocieszenia nie działają, bo są bezzradne wobec sekundnika: *styczniowy bieg po kolejne urodziny / kończy się zadyszką przemijających lat / a powtarzane do znużenia to tylko liczba / nie powstrzymuje sekundnika*. Wreszcie – jakby w geście ratunku, a zarazem desperacji – wraca do fotografii jako polowania na uciekający czas: *łapię w biegu aparat / by usidlić czwarty wymiar*. To zdanie jest jedną z najważniejszych osi tomu, bo pokazuje, że fotografia nie jest tu dekoracją, lecz narzędziem ontologicznym, próbą „usidlenia” czegoś, co z definicji jest nieuchwytnie, toteż pozostaje nam jedynie

kadr pamięci. Autor często buduje obrazy na granicy ostrości i rozmycia, czerni i bieli, światła i cienia, sugerując, że świat wchodzi w nas nie jako kompletna mapa, lecz fragment, przeblask. Już w pierwszym wierszu pada gorzkie rozpoznanie, że fotografia coraz rzadziej „koloryzuje świat”, a częściej przechodzi w tonację redukcji, jakby czas i doświadczenie zawężyły życie do dwóch tonów podstawowych: *nie zawsze dobarwia tęczę / coraz więcej w niej czerni i bieli*.

Motyw rzeki – obecny w *Moich rzekach* i w *Nadrzecznym drzewie* – jest tu emblematem nieodwracalności, czegoś, co płynie i nie pyta o zgodę, ale też egzemplifikuje pewien rodzaj mądrości. W *Moich rzekach* autor prowadzi autobiograficzną wędrówkę przez miejsca i etapy życia, sugerując, że tożsamość człowieka jest jak nurt, który żłobi w nawykach, w gestach, w spojrzeniu: *trzydzieści lat żłobiła bruzdy / w białych kołnierzykach szczenięcej beztroski / i na kolejnych dżinsach z Pewexu / powoli dojrzewała do morza*. Brzmi to ciepło, lecz „dojrzewanie do morza” oznacza nie tylko rozwój, lecz także odpływ, który nie wraca, a w finale wybrzmiewa jedna z najbardziej dojrzałych puent tomu, w której woda staje się synonimem sensu życia: *z Wisłą spotykam się / od czasu do czasu w Krakowie / jest inna niż warszawska / nieodwracalny upływ wody / wypełnia nowymi znaczeniami*.

Jeśli jednak rzeka jest obrazem odpływu, to Warszawa w tym tomie jest synonimem powrotu – nie w sensie fizycznym, ale pamięciowym, rekonstrukcyjnym, wyobrażeniowym. Tu właśnie teza o ocalaniu czasu przez akt widzenia staje się najbardziej wyrazista. Autor nie tylko wspomina miasto, lecz je odtwarza, jakby chodził po warstwach rzeczywistości, gdzie teraźniejszość została położona na przeszłość jak nowy tynk na stary mur, a poeta próbuje odnaleźć pęknięcia, przez które podgląda dawne życie. W wierszu programowym (*Pod ramię z cieniami*) autor mówi wprost, że w chwilach zastygnięcia codzienności przechodzi do „świata umarłych ulic”, a fotografia funkcjonuje jako brama do dawno zapomnianej przeszłości: *kiedy zastyga codzienność / przenoszę się do świata umarłych ulic / wojennej Warszawy / ożywa spłowiętymi fotografiami / przywołuje epizody o ludziach / których czas porzucił*. Istotne jest tu słowo „porzucił”, bo sugeruje, że czas ma w sobie brutalność, jakby był kimś, kto zostawia człowieka na poboczu, nie ogląda się, nie wraca, i właśnie dlatego poeta podejmuje pracę kustosza, niemal archeologa pamięci: *z pasją rekonstruuje / domy zaułki całe dzielnice / starte w proch nienawiścią i głupotą*. Narrator nie ogląda przeszłości jak muzeum, tylko wchodzi w nią delikatnie, intymnie, w ruchu, jakby spacerował z tymi, których już nie ma – i to jest najbardziej przejmujący wymiar tytułowego

wiersza: *przechadzam się pod ramię z cieniami / zapomnianych mieszkańców*. Warszawa została narysowana jako miasto, które dziś bywa tłumione przez nową (obcą?) architekturę, bo w miejscu dawnych dzielnic: *między kanciastymi klockami wieżowców / rozrzucenymi bezładnie / na grobach kamienic dawnej Bielańskiej* króluje nie tylko nowoczesność, ale również brak wrażliwości na pamięć, choć wciąż można usłyszeć *zapłtane wśród kamienic echo* oraz *nieprzerwany gwar w języku jidysz / wymieszany ze staro-warszawskim żargonem*. Na tym tle *Warszawski ostaniec* jest wierszem o ruinie, której nie przyznano prawa głosu, bo w nowoczesnym świecie nie ma miejsca na „votum separatum” budynku, który *pamięta*. Dlatego wiersz ten czyta się jak opis przemocy estetycznej, w której cień ma funkcję maski, zasłony, a światło dociera tylko „do drugiego piętra”, jakby nawet słońce bało się wejść w pełnię prawdy: *ponura studnia oficy / z trzech stron odcięta od miasta / pominętą przeszłością*.



W tomie jest jednak równoważąca przeciwwaga wobec brutalności przemijania: natura i drobne doświadczenia codzienności, które (choć również podlegają przemijaniu) są bardziej cykliczne i powtarzalne, a więc dają poczucie niewielkiej choćby stabilizacji. W *Majowych szkicach* poeta udowadnia, że rzeczywistość da się przełożyć na malarską paletę i poetycki wers: *przedsenne podpatrywanie / dobiera akwarele w barwach indygo / i lapis lazuli (...)* // *rano uwiecznię w pastelach wiersza / miękkie strzępki / majowego zmierzchu*. Jednak nawet natura jest u autora pod-

(Dokończenie na stronie 18)

Między fotografią a metaforą

(Dokończenie ze strony 17)

sztya filozofią ograniczeń, bo wolność bywa pozorem, a ruch – koniecznością: za *kręgami światła nieuchwytny teatr cieni*. Nieco odmienny dylemat ma drzewo (wiersz *Nadrzeczne drzewo*), które zazdrości rzece, ale jednocześnie rzeka nie ma prawa do powrotu, więc jej „niezależność” jest wątpliwa. Na tym napięciu poeta buduje metaforę ludzkiej kondycji: *jednak z zazdrością / wpatruje się w kapryśną rzekę / i własne rozwichrzone odbicie / kuszone pozorami wolności*, a zaraz potem odwraca perspektywę, w której fale odpływają wyznaczonym korytem, jakby wolność była już wcześniej zadekretowana: *dumne z niezależności fale / nieświadome ograniczeń / odpływają wyżłobionym torem / bez prawa powrotu*.

Warto zauważyć, że autor, choć często pisze w tonie lirycznym i melancholijnym, ma również mocny nerw społeczny, który ujawnia się w *Mam na imię...*, gdzie piękno i upokorzenie zostają zestawione w jednym kadrze miejskiej ulicy, a platońska definicja piękna jako przyjemności „ze słuchu i wzroku” staje się gorzkim podsumowaniem dla sceny, w której ludzie wybierają plakat, nie człowieka: *przechodnie omijają pospiesznie / z przyjemnością kierują wzrok / na plakat powabnej piosenkarki*. W *Zawierusze* z kolei wiatr pełni funkcję demaskatora iluzji, bo świat jest tu pokazany jako kruchy teatr parasoli, doktryn i „rozmiękłych idei”, a poeta stoi z boku: *szyby zaadygotały / protestują gorzkim brzękiem / przeciw iluzorycznej stabilizacji, oraz zamglone sylwetki (...) / szarpiały pręty narzuconych doktryn / bezskutecznie starając się wytyczyć / godny kierunek*. Obok tej refleksji pojawia się także krytyka pozoru i autoprezentacji, która w *Kuriozum* zostaje zarysowana celnie i bez litości, bo bohaterka istnieje tylko w reflektorach i fleszach: *gra jedynie w epizodach / wśluchana w klakierskie echa, oraz narcystycznie serwuje / czekoladopodobne wiersze // widzowie kupują bilety*.

Jednak najbardziej przejmujące w tomie są te wiersze, gdzie „akt widzenia” staje się misterium żałoby i miłości, bo pamięć o zmarłych nie jest tu dekoracją, lecz centralnym doświadczeniem, które domaga się własnego języka, by nie zniknąć ostatecznie. W *Bez skargi* poeta akcentuje bez patosu, ale z mocą: *sześćdziesięciu siedmiu lat / heroicznej walki z codziennością / nikt nie nazwie bohaterstwem*. Co prawda życiorys ulatuje w niebyt, lecz pamięć próbuje się odrodzić: *litery życiorysu miękko wsiąkną w ziemię / i odrodzą się niezniszczalną trawą*. W *Epitafium* natomiast żałoba jest doświadczeniem intymnym, podsztytnym paradoksem miłości, która nie miała ciała, a jednak odczuwa ból bardziej fizyczny niż niejedno sensualne doświadczenie, dlatego wersy: *kochałem jej duszę / ciała nigdy nie zaznałem* brzmią jak sekretne wyznanie.

W wierszu tym pojawia się też jedna z najpiękniejszych metafor całego tomu, jakby śmierć nie zamykała komunikacji, tylko ją osadzała w innym medium: *jej metafory przychodzą / z podprzestrzeni / zapisane czcionką gabriola, a finał wiersza staje się wzruszającym rytuałem: po każdym przeczytaniu / oczy pieką solą / jej życia*. Do tej samej kategorii należą *Powroty*, gdzie pejzaż górski maluje się niczym sen, a kończy nagłym „grzmotem” codzienności, która spada na człowieka jak lawina. I znów wraca do nas lejtmotyw całego tomu: czas, który staje w określonej chwili, bo śmierć albo strata wyrwa człowieka z ciągłości, jak w tym zderzeniu symbolu z rzeczywistością: *nierówne grzbiety książek / lawinę przysypały / zrzucony w przepaść budzik // wskazówki zamaryły na 6:15*. Warto też zwrócić uwagę na wiersz *Czupurnie*, stanowi on bowiem rodzaj autoepitafium, w którym poeta z dystansem, ale i z nieodpartą nutą transcendencji, pisze o własnym odchodzeniu, prosząc o „niebieską lampkę” i rozdzielanie „replik zdjęć”, jakby chciał rozproszyć siebie w formie kadrów: *a kiedy odejdę spalcie moje ciało / i niebieską lampkę zapalcie przy urnie / bo zawsze do nieba bardzo mi się chciało, oraz rozdawajcie szczodrze moich zdjęć repliki / czujnych spojrzeń zapis jak mgnienie ulotnych / zatrzymany w kadrach czas i pasji bziki*. Być może właśnie to jest jedyna nieśmiertelność, jaką uznaje?

Ten splot fotografii, słów i pamięci jest najważniejszym mechanizmem narracyjnym całego tomu, a jego dopełnieniem są wiersze o miłości i tęsknocie, w których autor pokazuje, że pragnienie bliskości też jest formą walki z czasem, bo ciało drugiego człowieka jest „tu i teraz”, a wspomnienie ciała jest „tam i wtedy”. Oba te porządki próbujemy utrzymać jednocześnie, dlatego w *Mojej tęsknocie* pojawia się zmysłowa, miękka obrazowość, w której pamięć ma smak, dotyk i kolor: *ma smak wytrawnych posiłków / dojrzewających w ustach, poparta niemal dosłowną obietnicą: ja ci kiść głogu nocą przyniosę / promień księżyca w rozbłyskach złotych / i pocałunku najczulszy dotyk*. Analogicznie w *Jeszcze o poezji* autor ściąga poezję z niedosiężnego piedestału i przenosi ją w ciało, w oddech, w chwilę zawahania; wtedy można przerwać czyjś sen, ale wybiera się kontemplację, czyli kolejny akt uważnego widzenia, czy wręcz zmysłowego misterium: *poezja to nie zakurzony tomik / wciśnięty między encyklopedię powszechną / a sienkiewiczowską trylogię, lecz to zachwyt nad zarysem piersi / falujących w rytm oddechu / gdy oparty na łokciu / waham się / czy prze-rwać twój sen*.

Wreszcie wiersze o podróży – jak *Tournée*, *Stacyjka*, czy *Stacja Łask* – domykają tom w tonie egzystencjalnej niepewności, gdzie metafora kolei staje się metaforą życia, które nie w pełni poddaje się rygorowi planów, i być może nigdy nie „przeprasza” za straty. W *Tournée* czytamy: *podróż podlega wpływom / czynników niezależnych / wystarczy niewielki semafor*. Potem pojawia się najważniejsze pytanie: *czy życie przeprasza jak kolej / za to co się dopełniło / lecz jeszcze może ulec zmianie, przełamane w finale szczerym wyznaniem*

wędrowca: *lubię podróże / bo nigdy nic nie wiadomo*.

Pod ramię z cieniami jest tomem, który udowadnia, że autor traktuje poezję jako praktykę uważności i ocalenia, a fotografię jako równorzędną jej język przekazu. Książka ta z pewnością trafi do osób szukających nie tylko luźnego zbioru liryk, lecz spójnej narracji, czy wręcz manifestu, traktującego o przemijaniu, pamięci, historii i bliskości, gdzie każdy kadr (czy to Warszawy „umarłych ulic”, czy „odprysku” codzienności, lub twarzy i imion z epitafiów) zostaje zatrzymany w wierszu – by nie zniknął bez śladu... I nawet jeśli poeta wie, że zegara nie da się zatrzymać, to udowadnia, że można przynajmniej zatrzymać znaczenia i iść „pod ramię z cieniami” – nie po to, by w nich ugrzęznąć, lecz by przeprowadzić je na drugą stronę milczenia.

Rafał Nowocien

O naturze Zelowa, Andrzeja Dębrowskiego i naturze słowa

Skoro już w tytule trzykrotnie przywołałem naturę w jej kilku postaciach, natychmiast spieszę wyjaśnić w czym rzecz. Otóż zacznę od natury niebagatelnej części społeczeństwa, szczególnie młodego, wywodzącego się z tak zwanej prowincji, uważanej niesłusznie za regiony wykluczające, pośród której pokutuje przeświadczenie, że wielkie miasto z samej już jego mistycznej natury, gwarantuje swoim mieszkańcom powodzenie i dostatnie życie.

W takim sposobie myślenia zawarta jest spora doza prawdy, ale wygenerowanej przez media na użytek szeroko pojętego biznesu. Oczywiście trzeba przyjąć, że od każdej reguły zdarzają się odstępstwa, ale z zastrzeżeniem: u podstaw wszelkiego powodzenia, bez względu na miejsce zamieszkania, leży przede wszystkim nasza natura. Bez mądrego planu działania i żelaznej konsekwencji, będziemy zmuszeni do robienia „kariery” na polach truskawek, albo szparagów, a określenie: prowincja dotyczy raczej stanu umysłu a nie miejsca geograficznego.

W związku z powyższym zapraszam do bardzo urokliwego miejsca, jakim jest Żelów, miasta położonego w powiecie bełchatowskim. Cała gmina liczy sobie trochę ponad 14 tysięcy mieszkańców, z czego niecałe 7 tysięcy zamieszkuje w samym mieście. W sumie można powiedzieć: miasteczko. To wszystko prawda, ale rzecz nie w liczbie mieszkańców, tylko w ich wartości, dążeniu do realizacji

wspólnych celów i poczuciu więzi cementującej miejscową społeczność, a ta świadoma swej wartości wydaje na świat wartościowe jednostki.

Z Zelowa wywodzi się mnóstwo znakomitych osób. Choćby Karol Badziak – ceniony dziennikarz związany z Łódzką prasą, Mirosław Drożdżewski – wychowany w Zelowie, znakomity gitarzysta, pedagog i kompozytor, Thomas Gleb – francuski malarz urodzony w rodzinie zelowskich Żydów, Waldemar Zawodziński – reżyser, scenarzysta i scenograf, związany z teatrem Jaracza w Łodzi i w końcu **Andrzej Dębowski**, choć nie jest ostatni na tej długiej liście, osoba szalenie zasłużona nie tylko dla Zelowa. Ale o nim za chwilę.

Muszę jeszcze wspomnieć o wydarzeniach kulturalnych, których mogłoby pozazdrościć wiele miast mających się za metropole. Myślę o chlubie gminy Żelów, jakim są Letnie Koncerty Festiwalowe, towarzyszące Międzynarodowemu Festiwalowi Muzyki Organowej i Kameralnej Radom-Orońsko. Gościli na tej imprezie same sławy. Oto one: Krzysztof Penderecki, Georgij Agratina, jeden z największych wirtuozów gry na cymbałach i fletni Pana, Józef Broda, malownicza postać, znakomity folklorysta, Krzysztof Penderecki, Teresa Żylis-Gara, profesor Stefan Stuligrosz i „Poznańskie Słowiki”, Jerzy Maksymiuk i Sinfonia Varsovia, Wiesław Ochman, Konstanty Andrzej Kulka i wielu, wielu innych. A z pisarzy wspomnę Wiesława Myślińskiego, Ernesta Brylla i Andrzeja Brauna. Było ich dużo więcej, a także sporo znakomitych aktorów, ale już czas powrócić do Andrzeja Dębowskiego, który maczał swe zaczerpnięte palce w wymienionych wydarzeniach, na dodatek sam jest postacią barwną i wielce zasłużoną dla Zelowa i kultury polskiej.

Nasz wybitny Żelowianin to znakomity poeta, publicysta, krytyk literacki, eseista, pomysłodawca, założyciel i wydawca nieprzerwanie od 1996 roku „Gazety Kulturalnej”. W przeszłości był redaktorem wielu innych pism kulturalno-społecznych. Efektem jego twórczości i pracy animatora kultury, był wybór na wiceprezesa Zarządu Głównego ZLP.

Nic dodać, nic ująć, taki jest Andrzej Dębowski. Przepraszam, zapomniałbym dodać, że jest jeszcze fotografikiem. Kiedy ON znajduje na to wszystko czas?! A mnie z kolei trudno byłoby omówić Jego dorobek w tekście, który zmieściłby się na łamach „Gazety Kulturalnej”, dlatego pragnę zwrócić uwagę na pozycję skromną objętościowo, ale poświęconą czemuś, co dotyczy nas wszystkich, bez względu na to czy jesteśmy tego świadomi czy nie.

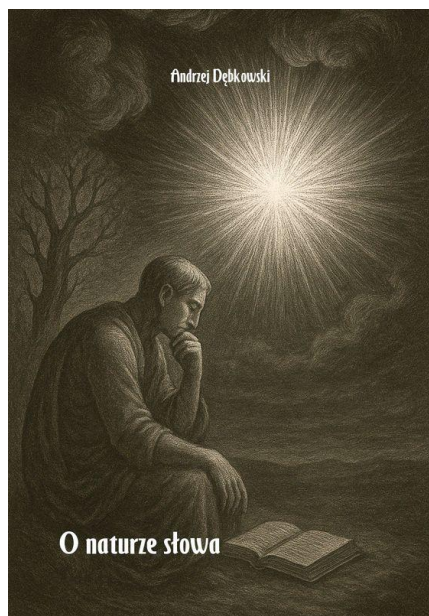
Rzecz dotyczy natury słowa, medium porozumienia, podstawowego nośnika i środka przekazu w komunikacji pomiędzy ludźmi. Esej „O naturze słowa” jest nie do przecenienia i powinien znajdować się na domowych półkach, choćby tylko w towarzystwie książek kucharskich, inaczej nasza świadomość będzie spłaszczona, tak jak pana Jourdaina, z komedii Moliere „Mieszczanin szlachcicem”, który po latach dowiaduje się od nauczyciela filozofii, że sposób w jaki mówi na co dzień, to proza. Wzburzony tym odkryciem krzyczy:

„Daję słowo, zatem ja już przeszło czterdzieści lat mówię prozą, nie mając o tym żywnego pojęcia!”

Język i słowa, to coś podobnie ważnego jak układ krwionośny, odżywiający nasz umysł i ciało. Jeżeli ustaje jedno, ustaje też drugie. Przyzwyczailiśmy się traktować istnienie, życie, jako sekwencje fizjologicznych zdarzeń, pozwalających nam urządzić i podporządkowywać otaczający nas świat. Ale bez udziału słowa nie byłoby to możliwe, ginęłoby w totalnym chaosie, ponieważ słowo porządkuje rzeczywistość. Andrzej Dębowski pisze: „Dla starożytnych Greków mowa była częścią kosmicznego porządku – tą siłą, która nadaje światu harmonię i sens, a późniejsi filozofowie chrześcijańscy przejęli tę myśl, nadając jej wymiar boski. »Na początku było słowo« – to nie metafora, lecz ontologiczna prawda: istnienie rozpoczyna się tam, gdzie pojawia się sens. A sens nie istnieje bez słowa”.

Słowo nie jest też niewinne, to problem wielopłaszczyznowy, oprócz sensu może z powodzeniem tworzyć figury absurda, kłamliwe, raniące i eliminujące, zwodnicze i burzące etyczny wymiar. Ale istnieje także milczenie jako uzupełnienie problemu słowa, czyli mowy, która również jest wielowymiarowa. Mogłbym długo jeszcze cytować SŁOWA Andrzeja Dębowskiego, ale po co wyręczać Autora? Wystarczy zdobyć (kupić) znakomity esej „O naturze słowa”, trzymać go pod poduszką i czytać przed snem jak kiedyś Kubusia Puchatka, przyjacielu bawiącego nas i uczącego podstawowych znaczeń słów.

Szymon Koprowski



Andrzej Dębowski, *O naturze słowa*. Esej. Redakcja, Projekt okładki i zdjęcie na I stronie okładki: Andrzej Dębowski. Słowo wstępne: prof. Maria Szyszkowska. Zdjęcie na IV stronie okładki: Andrzej Walter. Wydawnictwo Autor-skie Andrzej Dębowski, Żelów 2025, s. 64.

Poetyckie wybory Izabeli Iwańczuk

Izabela Iwańczuk to poetka wywodząca się ze Słupska. Debiutowała na łamach kwartalnika „Wyrazy”, a swoje wiersze publikowała w wielu pismach literackich oraz w licznych antologiach. Były one tłumaczone m.in. na język angielski, serbski, hiszpański, niemiecki i rosyjski. Do tej pory światło dzienne ujrzało 6 jej tomików poetyckich.

W tym roku poetka obchodzi 30-lecie swojej pracy twórczej. Z tej okazji ukazał się wybór jej wierszy zatytułowany *Spajdermenka. Wiersze złapane*. Teksty są ułożone w układzie chronologicznym; za każdym razem poprzedza je nazwa zbioru, rok wydania i wydawnictwo, w którym się ukazały. Takie rozwiązanie nie tylko prezentuje twórczość autorki, ale również pozwala śledzić jej rozwój, jak też kształtowanie się poetyki, ku której podąża.

Całość wyboru otwierają wiersze ze zbioru *Róża fraszobliwa* wydanego w roku 2000 nakładem wydawnictwa AGORA. To zaledwie pięć tekstów o charakterze egzystencjalnym, w których istotne miejsce zajmują rozważania nad sensem życia i nieuchronnością śmierci.

Następny zbiór ukazał się sześć lat później i nosi tytuł *Koperta bieli*. Iwańczuk wybrała z niego 10 wierszy. Są to w przeważającej mierze teksty o potrzebie miłości i bliskości z drugim człowiekiem. W stosunku do tych z poprzedniego zbioru różnią się jednak nie tylko tematyką, ale również obrazowością – są bardziej plastyczne i operują szerzej rozbudowaną metaforiką:

*pod ręką jak magnolia szybko
dojrzeła zaadresowana duża koperta bieli*

(„Miłość”, s. 19)

Kolejna książka poetycka ukazała się w 2008 roku. W *Lunatykach* autorka zaprezentowała wiele wierszy (co sugeruje sam tytuł) o charakterze lunarnym. W niektórych z nich zrównuje księżyc z wręcz Bogiem: (...) *błogosławiony / owoc twojego żywota / księżyc*. („Zaiste”, s. 31)

Motyw łączenia Boga z księżycem pojawia się tu wielokrotnie, również w utworze *Lunatycka* (s. 33): *na języku spoczęł opłatek księżyc*. Motywów biblijnych pojawia się zresztą wiele, jak chociażby ten fragment wiersza *Nokturn grudniowy* (s. 38):

*pod szarym mostem nowego miasta
Maria i Józef
niczym dwa ziemskie anioły
w śnieżnobiałych oparach milczenia*

W tej części *Spajdermenki* znajdziemy również utwory nasączone zwienną i eteryczną esencją erotyzmu. Przy tworzeniu ich poetka niejednokrotnie posłużyła się rekwizytami zaczerpniętymi z nocnego nieba.

(Dokończenie na stronie 20)

Poetyckie wybory Izabeli Iwańczuk

(Dokończenie ze strony 19)

Trzeba przyznać, że udało się jej przy tym trudna sztuka nie popadania w banał.

Swój czwarty w dorobku tomik pt. *Perły wieczne* (2012) Iwańczuk podzieliła na dwie części. W pierwszej – *tren wiary* – znajdziemy wiersze o charakterze elegijnym, w swej formule nawiązujące do tytułowych trenów. Niektóre z nich przypominają modlitwę lub litanie. Ich adresatem jest – oprócz Boga – przedwcześnie zmarła matka – Teresa. Piszze m.in. o niej w wierszu: *Mama Tereska* (s. 56):

*uśmiechnięta
od chleba
do nieba*

*od miłości
do wieczności
niepojęta*

Druga część, zatytułowana *wołacz miłości* to cykl erotyków. W niektórych z nich pojawiają się postaci ze świata kultury, tacy jak Petrarka, Rubens, Chopin, Sand, tak jakby poetka chciała zasygnalizować, że nikt nie jest wolny od miłości.

W roku 2016 ukazał się zbiór erotyków poetki pod jakże znaczącym tytułem *tykoEro*. Poetka odbiera miłość sensualnie, za pomocą zmysłów, pośród których prym wiedzie słuch. Miłość staje się swoistą wibracją, tworzoną przez dwoje zakochanych ludzi. Wibracją uczuć rozpisana na poszczególne instrumenty, tworzące razem harmonię:

*stąpasz twardo po strunach
drzęż ziemią i niebem.*

(„Harfa”, s. 85)

czy też: *współczesne / brzmienie // oboje // między / udami*

(„Instrumenty”, s. 86)

Miłość jest nienasyconiem, dlatego nie dziwi, że w tych wierszach znajdziemy wiele odniesień do kolejnego zmysłu, jakim jest smak:

*o soulowe uda ocierają się
laski wanilii cynamonu
we włosach zatopione ziarna kawy
na piersiach goździki kropelki martini*

(„Sen o kobiecie”, s. 97)

Reasumując, można stwierdzić, że w generalnie są to wiersze niezwykle subtelne i sensualne, w których zmysłowość wygrywa z cielesnością.

Ostatnią część wyboru stanowią wiersze z najnowszego zbioru Iwańczuk pt. *Suflerka*, który podobnie jak *Spajdermenka* również ukazał się w tym roku. Poetka zdecydowała się na powtórzenie ponad połowy wierszy z

tego zbioru w omawianym wyborze. W przeważającej mierze są to utwory odmienne od tych zamieszczanych w poprzednich zbiorach, dużo w nich gry i zabawy słowem. Niejednokrotnie pozornie wersy nie przystają do siebie, jednak gdy im się uważniej przypatrzymy, dostrzeżemy, że budują one ciągi skójarzeń prowokujące czytelnika do przemyślenia i zbudowania na ich fundamentach własnych poetyckich światów. W *Suflerce* Iwańczuk zamieściła wiele wierszy, w których bawi się wręcz tytułami, rozbijając je na części. Szczególnie upodobała sobie słowo *tyczka*, rozbudowując je do postaci: *Anorektyczka*, *Roman-Tyczka*, *W-tyczka*, *Fana-tyczka*, *Mis-tyczka*, *Ma-temat-tyczka* itp. W omawianym wyborze zdecydowała się jednak zamieścić tylko dwa ostatnie teksty.

W tej części tomu oprócz wierszy, o charakterze gry słownej znajdziemy również bardzo wiele tekstów o głębokim przesłaniu humanistycznym i ciekawej metaforice:

*zmiksowana rzeczywistość jak blender
wola jasną papką słów*

*jestemy na widoku pod obstrzałem
odbezpieczone pistolety spojrzeń*

(„Przystanek świat w ciągłym ruchu”, s. 107)

W niektórych wierszach pojawiają się odniesienia do postaci i miejsc znanych z Biblii (Bóg, Maria, Fatima), ale są też teksty adresowane do konkretnych osób – poetów Mirosława Pisarkiewicza czy Marka Czuku.

Spajdermenka to ciekawy wybór z twórczości Izabeli Iwańczuk, stanowiący swoisty przekrój jej literackich dokonań. To interesująca pozycja, której lekturę gorąco polecam.

Tadeusz Zawadowski

Izabela Iwańczuk, *Spajdermenka. Wiersze złapanie*. Wydawnictwo Ridero, 2026.



Agnieszka Rykowska

Szukała tego mężczyzny...

Wznosił się tam zimny, szary budynek wypełniony dziwnymi ludźmi. Ich twarze były nieostre, kończyny powyginane – niemal w ciągłym ruchu. Przypominali manekiny, w liczbie niemożliwej do ogarnięcia wzrokiem. Czuł się źle w tym tłumie nieznajomych.

Na jednym z pięter dostrzegł poetę; usłyszał słowa, które dawno temu opadły na ziemię, niczym zwiędłe liście.

Drażył, pytał samego siebie: czy trwa tu od zawsze, czy może pojawił się po raz pierwszy? I choć chwilami przypuszczał, że zna to miejsce, rzeczywistość rysowała się pokracznie – jakby konary wyrastały bezpośrednio z korzeni. Może to zmarli pięli się w górę, prac ku powierzchni nieba? Nie był pewien tego obrazu spowitego zresztą gęstą mgłą. Okna pulsowały: raz wielkie, to znów małe. Krajobraz na przemian przybliżał się i oddalał.

To był osobliwy budynek. Momentami niektóre pomieszczenia przypominały wieżę Babel, gdzie każdy trwał sam ze swoim losem. Czuł się niepewnie, raz posuwał się do przodu, inny razem cofał. Jego kroki były chwiejne.

Na jednym z wyższych pięter podłoga pokryta była grubą warstwą piasku. Tutaj manekiny zaczęły przypominać ludzi. Już nie wymagały kończynami.

Większość trzymała w dłoniach drewniane laski – rysowali nimi ryby na piasku. Niestety nic trwalszego tu się nie zapowiadało: rysunki szybko ginęły pod stopami.

Ona pojawiła się znacznie później. Nie pamiętała drogi, którą przebyła, zanim tutaj się znalazła. Do jednego z pokoi prowadziły drzwi z prostokątną szybą; za nimi naga kobieta w mocnym, rozmazanym makijażu wykrzykiwała przekleństwa. Bała się jej, lecz ta cела przypominająca izolatkę, była jedynym pomieszczeniem, w którym niosło się echo.

W jej oczach manekiny tworzyły nierozróżnialny łańcuch, gąszcz niemal nie do przebycia. Czuła jednak siłę, pragnęła iść dalej – miała cel.

W budynku znajdowała się złota winda, z której nagle wybiegł wilk. Chciała za nim ruszyć, dogonić zwierzę i przyjrzeć się z bliska jego samotności. A może ten mężczyzna z piętra, którego numeru już nie pamiętała, wcielił się w bestię? Może opuścił złoty azyl, by uciec do dzikich lasów i na zielone pola? Stało się to tak nagle, że poczuła lęk przed naturą – piękną, lecz niepozbawioną zła. Ostatecznie rozważania te zdały się na nic; zabłądziła w labiryncie korytarzy i schodów.

Dusiła ją atmosfera tego miejsca. Niektóre pokoje były ciasne jak małe klatki. Wchodziła do nich z trudem; stawiały opór. Nie udawało się jej otworzyć i zamknąć drzwi między wdechem a wydechem. Na tym poziomie doznawała nawet paliptacji. Pragnęła tutaj się wyświadczyć, bez pośredników. Skoro w tym budynku nikt nie chciał rozmawiać, samotne wyznawanie win miało sens. Może to pozwoliłoby jej uspokoić się.

Czasem zdawało jej się, że ściany wokół szepczą, ale nie potrafiła wyłowić z tego szumu ani jednego słowa.

Szukała tamtego mężczyzny na schodach, piętrach i w pokojach. Nie spotkali się.

Rzucając confetti, prawdopodobnie narzucała się. Nie był dobrym odbiorcą, ona zaś czuła się przy nim jak natrętna mucha. A tak bardzo pragnęła być jego rzeźbiarką, niemal jak Camille Claudel.

Autorką korytarzy i pokoi w tym przekleśnym miejscu. Marzyła o dłoni w dłoni, rzeźbie w kształcie splecionych rąk. Nie udało się.

(Dokończenie na stronie 24)

Filozofia codziennosci prof. Marii Szyszkowskiej (239)



Fot. Andrzej Dębowski

Powinno stać się oczywiste, że lewicość nie ma nic wspólnego z aprobatą dla neoliberalizmu ekonomicznego. Przedstawiciele lewicy cenią na równi z własnością prywatną – własność społeczną oraz własność państwową. Lewicowość wyrażana przez I. Daszyńskiego odległa jest od aprobaty zbrojeń i wzmoczonych dążeń do wojen, a w tym do wojen w interesie obcych państw. Lewicowość, której wyraz dawał Daszyński nie ma nic wspólnego ze wskazywaniem zysku materialnego jako wartości nadrzędnej.

Szerzenie idei Ignacego Daszyńskiego doprowadzi do kompromitacji podszywania się pod szyld lewicy tych, którzy są obojętni wobec wynaturzonej w Polsce demokracji, którą się kulturuje od blisko ćwierćwiecza. Wiedza o Ignacym Daszyńskim doprowadzi do zrozumienia, że wątpliwy jest patriotyzm tych sił politycznych, które szukają pomocy poza krajem, by odzyskać władzę utraconą w wyborach.

Zgodnie z ideałami i działaniami I. Daszyńskiego należy zaszczepiać ideowość w polityce, patriotyzm oraz sprawiedliwe zasady funkcjonowania państwa. Potrzebne jest odbudowanie wartości socjalizmu, co konsekwentnie głosi PPS. Trzeba też zaznaczyć, że premier o którym tu mowa cenił parlamentarizm ale oparty nie o lobbing grup najbogatszych Polaków. Ma to istotne znaczenie, jest wskazówką dla dziś działających polityków. Ignacy Daszyński zalecał w polityce drogę pokojową. Cenił demokrację parlamentarną do tego stopnia, że trafne jest określenie jego poglądów jako demokratyczny socjalizm. Jednakże podkreślał, że demokracja bez silnego rządu staje się chaosem.

Niedostatek ideałów powoduje wadliwe funkcjonowanie państwa wyrażające się obojętnością wobec warstw ludzi biednych, korupcją, nepotyzmem. Ignacy Daszyński dawał wyraz temu, że są wartości bardziej istotne od osobistych korzyści. Na zakończenie warto przytoczyć słowa Adama Ciołkosza, który w książce „Ludzie PPS” wydanej w 1984 roku w Londynie, napisał, że Ignacy Daszyński jest największym w dziejach Polski nauczycielem socjalizmu.

Demokracja

Zwolennicy demokracji bywają na tyle zaciekle w swoich poglądach, że zaliczają do grona ceniących ten ustrój nawet Sokratesa, Platona i Kanta, czyli jednoznacznych przeciwników tego ustroju. Widocznie szukają autorytetów na poparcie własnego stanowiska. Nie wystarczy im Arystoteles, ponieważ był zwolennikiem demokracji, ale tylko i wyłącznie takiej, w której rządzący kierują się dobrem wspólnym społeczeństwa. Zaciekle krytykował demokrację o ile grupa rządząca sprawuje władzę z myślą o swoich interesach. Sokrates był pierwszym filozofem, który zwrócił uwagę na fundamentalną wadę demokracji jaką są rządy oparte o wybory. Wiemy z zapisów w dziełach Platona, że Sokrates wyjaśniał, że o wyniku wyborów decyduje to, co dziś nazywamy mianem kielbasy wyborczej. Mianowicie, łatwo jest przekupić wyborcę – jak mówił Sokrates – butelką wina, a wtedy oddaje głos na wskazaną osobę. Platon także dostrzegał trwałe różnice w możliwościach intelektualnych ludzi i z tego powodu był zdania, że rządzić mają najmądrzejsi, a więc filozofowie. Kanta krytyka demokracji miała źródło w tym, że rządzi w takim ustroju większość i mniejszości są przez nią terrorizowane.

Absurdalny pogląd przypisujący najwybitniejszym filozofom aprobatę dla ustroju demokratycznego wysłuchałam nawet w czasie rozmowy z jednym z ekspertów Ministerstwa Spraw Zagranicznych. I to jest niepokojące. Większość naszego społeczeństwa jest otumaniona poglądem o doskonałości demokracji i przekonana, że nie ma lepszych rozwiązań ustrojowych. Ale na ogół nikt nie zadaje sobie trudu, by ustalić czym powinien się charakteryzować ten ustrój.

Teorie demokracji bywają różnorodne. Łączy je ze sobą jedynie pogląd, że ustrój ten urzeczywistnia ideę równości. Nikt jakoś nie zauważa, że równość stała się sloganem w związku z wprowadzonym liberalizmem ekonomicznym, który z natury swej rodzi głęboką nierówność materialną. Ta zaś skutkuje jedynie formalno-prawną równością. Bo o jakiej równości można mówić skoro bogaty przestępca za pieniądze uzyskane z malwersacji może wyjść z aresztu by odpowiadać z „wolnej stopy”, natomiast ubogi przestępca tkwi w areszcie. Piszę o równości, bowiem ma być filarem demokracji, warunkiem koniecznym tego ustroju, co zgodnie podkreślają twórcy różniących się między sobą teorii demokracji. Myśląc w sposób niezależny jednostki zdają sobie sprawę z tego, że demokracja może być zespólna jedynie z jakąś formą socjalizmu, ponieważ prowadzi on do wyrównania materialnego społeczeństwa. Demokracja i neoliberalizm gospodarczy nieprzystają do siebie. Problem zawiera się w uprzedzeniach wytworzonych przez polityków, publicystów, przez media. Otóż bezrozumne negowanie jakichkolwiek wartości w ustroju PRL doprowadziło do tego, że u nas nawet część ugrupowań określających siebie jako lewicowe krytykuje socjalizm. Wyraża się w tym wąskość horyzontów myślowych, niewiedza, podleganie

poprawności politycznej i chęć – u niektórych – by zatrzeć ślady odniesionych korzyści w PRL. Zresztą korzyści odnieśli wszyscy na przykład dzięki bezpłatnemu leczeniu, bezpłatnej edukacji, braku bezrobocia.

Rozstrzygnięcia polityczne powinny dotyczyć w państwach demokratycznych kwestii, które leżą poza sferą moralności. Polityka narzucająca społeczeństwu określone rozstrzygnięcia moralne prowadzi do zniewolenia. Zdawał sobie z tego sprawę przed pięcioma wiekami Grocjusz twierdząc, że porozumienie walczących ze sobą państw w Europie może nastąpić jedynie w oparciu o wartości inne niż moralne.

Nie da się z nauką jednoznacznością ustalić wartości, które powinny funkcjonować w życiu publicznym. Celem polityki nie jest osiągnięcie prawdy. Wystarczająco uzasadnienia dochodzących do głosu rozmaitych stanowisk partyjnych. Zresztą kultura masowa, inaczej kultura mediów, z łatwością manipuluje świadomością obywateli, na przykład nadając pojęciom sens odległy od ich właściwego znaczenia.

Rozum często błądzi i dlatego niektórzy spośród filozofów polityki przyznają szczególne znaczenie doznaniom i prawdzie uczuć. Wzrost krytycyzmu rozumu niewiele pomaga, skoro niejedną z nas odchodzi od prawdy własnych przekonań na rzecz poglądów, które przynoszą korzyści. Istotne znaczenie hamujące przed szukaniem korzyści za cenę prawdy własnych poglądów, ma siła charakteru i świadomość tego, że sens życiu nadaje wierność wobec wybranych ideałów. A więc w sferze polityki ma istotne znaczenie wierność wobec siebie.

Dokonywanie wyborów między poglądami politycznymi nie wiąże się z zagadnieniem prawdy, bowiem nie ma dowodów pozwalających wykazać, iż określony zestaw politycznych poglądów jest prawdziwy a pozostałe fałszywe.

Wciąż aktualne pozostaje stwierdzenie Kanta: „Bieda temu, który uznaje inną politykę aniżeli ta, która za święte uznaje przepisy prawne”. A więc prawo powinno wyznaczać ramy dla działań polityków.

Żyjąc w społeczeństwie konieczne staje się dokonywanie wyborów między różnorodnymi poglądami, co wiąże się z problemem prawdy. Ernst Cassirer twierdzi jednak, że dominiuje myślenie mityczne i trudno oczekiwać prawdziwych rozstrzygnięć. Klasyczna teoria prawdy, głosząca zgodność poznania z rzeczywistością, musi zostać odrzucona, bowiem rzeczywistość jest niepoznawalna. Znamy jedynie jej ogłód w nas, a więc nie możemy stwierdzić czy poznanie nasze jest zgodne z rzeczywistością, czyli mówiąc słowami Kanta, z rzeczami samymi w sobie. Z reguły jesteśmy gotowi uznać za prawdę takie stwierdzenia w które łatwo nam uwierzyć.

W polityce jest miejsce jedynie dla koherencyjnej teorii prawdy, pojmującej prawdę jako zgodność myśli między sobą.

cdn.

Maria Szyszkowska

Moja walka z rakiem

(84)

23 lipca 2020

Na razie żadnych negatywnych czy niepokojących symptomów po wlewce nie mam. Ani wyższej temperatury, ani krwawienia czy złego samopoczucia nie odczuwam. To może być również przejawem, jak przeczytałem z poradnika, że reakcja organizmu jest obojętna, co też nie wróży szybkiego leczenia. Jak wyczytałem z tegoż poradnika, leczenie BCG trwa przeciętnie 3 lata, co jest o tyle pocieszające, że gwarantuje mi to życie co najmniej do 80 lat. Byłoby tylko nie było przerzutów, no i nie doszła do tego jakaś inna choroba, no choćby covid – 19 czy jakiś nieszczęśliwy wypadek, bo tego też nie można wykluczyć. Brzmi to nader optymistycznie, ale jak będzie, jedynie Bóg sam wie. W każdym razie po lekturze poradnika poczułem się lepiej.

Ponieważ była ładna, słoneczna pogoda pojechaliśmy do marketów, Leclerca, Tesco i Kauflandu. Ruch jednak był tam stosunkowo mały, może i dlatego, że to koniec miesiąca. Inaczej bywa na początku. Dolar spadł do ceny sprzed pandemii, a więc przełomu marca i kwietnia. Ruchu w kantorze jednak nie widziałem. Ci, co mają obcą walutę, jej teraz nie sprzedają, a kupujących też nie za wiele. Pojedyncze osoby. Ludzie się przyzwyczaili do takich lekkich wahnięć na rynku i nie wzbudzają one paniki. Po prostu rynkowa normalność. Pamiętam, jaka była panika w PRL, gdy ludzie dowiedzieli się przypadkiem, że coś ma zdrożeć. Zaraz sklepy były oblegane i następował masowy wykup. Oby tak było zawsze, a PRL pozostał tylko kartą w historii i ostrzeżeniem, że tak też może być! Niech władza będzie służbą społeczną, a nie panowaniem nad własnym narodem, jak się to niektórym rządzącym śni!

24 lipca 2020

Piękny słoneczny dzień, choć temperatura umiarkowana, 24 stopnie C w cieniu. Dziś pogrzeb prof. Franciszka Ziejki, rektora UJ w latach 1999-2007. Mszę pogrzebową z kościoła akademickiego św. Anny transmitowano przez Internet. Wysłuchałem homilii i 3 wystąpień: obecnego rektora UJ prof. Nowaka, przedstawiciela KKR, b. rektora Politechniki Warszawskiej i dziekana Wydziału Polonistyki UJ. Słuchając pomyślałem sobie, że Ziejka zasłużył sobie na ten splendor i ciepłe słowa. Niewiele z nim rozmawiałem, raz podczas nieszczęsnego dzielenia nas na grupy seminaryjne, a drugi raz już po studiach, chyba w latach 90. Był to czas „polowania na czarownice” po ujawnieniu teczek agentów i tych, którzy podpisywali tzw. lojalki, gdy wyjeżdżali za granicę, także na stypendia. Między innymi dotyczyło to również Ziejki, który był

lektorem języka polskiego na uniwersytecie w Prowansji, a później w Portugalii i bodajże w Hiszpanii. Miał również wykłady na uniwersytecie w Paryżu, nie wiem czy nie na Sorbonie? Ziejka był człowiekiem rozsądnym i odnosił się z dystansem do zainicjowanej przez liderów PiS, m.in. Macierewicza czy Wildsteina, nagonki i szkalowania wielu ludzi niewinnych. Lustratorem swego ojca okazał się wtedy obecny wicemarszałek Sejmu Ryszard Terlecki, który jak prawdziwy bohater socrealistycznych powieści zajął się teczkami swego ojca, pozostawionymi w archiwach SB. Jak wiadomo, Olgierd Terlecki był nie tylko pisarzem i publicystą, ale także żołnierzem armii Andersa i dzięki jego rozległym, przedwojennym i wojennym znajomościom oraz kontaktom mógł wyjeżdżać do Londynu, rozmawiać z byłymi kombatanami i pisać interesujące artykuły publikowane w oficjalnej prasie, przede wszystkim w „Życiu Literackim”. Dzięki temu nasze społeczeństwo mogło dowiedzieć się o bitwach i walkach, które toczyła polska armia na Zachodzie, a także o jej dowódcach, żyjących i nieżyjących. Sam zdobywałem tę wiedzę z jego książek i artykułów. Olgierd Terlecki dla popularyzacji wiedzy o polskiej armii na Zachodzie miał ogromne zasługi, bo nikt, kto publikował w Polsce, nie miał takiej wiedzy i takiej swobody wypowiedzenia się jak on. Niestety, jego syn Ryszard, obecny wicemarszałek Sejmu – dla sławy niezłomnego tropiciela agentów – utopił go w nieczystościach. To też jego wiekopomna zasługa. Odbierze zapewne za to medal sprawiedliwości czy zasługi dla PiS-u od Kaczyńskiego. Ryszard Terlecki jest też historykiem i przed podjęciem kariery politycznej był także profesorem UJ. Na szczęście takich profesorów jak on UJ ma niewielu.

26 lipca 2020

Wieczorem o 20.30 w TVP 1 od wielu dni emitują serial produkcji meksykańskiej „La Bandida”. Oczywiście, jest on zrobiony pod gustu tamtego czyli latynoamerykańskiego widza. Jest tam wiele uproszczeń, a historia początku XX wieku została właściwie tylko zamarkowana pięknymi zdjęciami. Choć bohaterowie serialu biorą udział w rewolucji, która wybucha w Meksyku, to jej obraz jest przedstawiony w sposób niekiedy bardzo żałosny i niekompletny. Rewolucjoniści, ludzie prości, to tak naprawdę złodzieje i bandyci, rządzący się ciągle alkoholem, tequilą, i spółkując z kobietami, które znalazły się w obozie i walczący o ich wdzięki ze swoimi konkurentami. Rewolucjonistki też zostały ukazane jak kobiety lekkich obyczajów. Spółkują z każdym, kto im się podoba albo na kogo mają w danym momencie ochotę. Nie lepiej przedstawieni są też dowódcy meksykańskiej rebelii. Piją wszyscy na umór. Reżyserowi co prawda chodziło głównie o pokazanie bujnego życia głównej bohaterki, Mariny (Grazieli Olmes), najpierw dziewczynki, pracującej jako służebna na haciendzie, której ojciec był zarządcą czy ekonomem, a po jego śmierci wychowywanej w sierocińcu przez siostry zakonne. Marina na

ulicy rozpoznaje zabójcę swego ojca. Chce nawet go zabić. Ale pamięta też, że on i jego brat pomogli jej opuścić haciendę. Jej losy tak się potem potoczą, że trafia do obozu rewolucjonistów, a zabójca jej ojca zostaje jej kochankiem i mężem. Niestety, Jose ginie w podziemnej zasadzce, którą na niego przygotował konkurujący o rękę Mariny jeden z dowódców obozu rebeliantów, zwany „Generałem”. Marina po śmierci męża opuszcza obóz i przewozi zwłoki męża do jego rodzinnej wioski, by tam go pochować. Przyjaciółkę męża, Ramirez, którą poznała w obozie pomaga jej w znalezieniu pracy. Zaczyna się nią też opiekować. Ma on jednak wobec niej własne plany, chce zostać jej mężem. Marina nie przyjmuje jego propozycji, bo wie, że małżeństwo ograniczy jej wolność. W tym czasie poznaje jednego z szulerów karcianych, który okazuje się też członkiem złodziejskiej bandy, okradającej z biżuterii zamożnych Meksykanów. Po rozbiciu gangu Marina musi uciekać z miasta. Pomaga jej znów Ramirez, który chce ponownie wkupić się w jej łaski. Marina zamieszkała pod przybranym nazwiskiem, Graziela Olmes, jako żona Ramireza w hotelu na prowincji w pobliżu granicy Meksyku i Stanów Zjednoczonych. Tutaj nawiązuje nowe kontakty, m.in. z „żołnierzem” Al Capone, gangsterem Franco, dzięki któremu staje się współpracownicą Al Capone, dostarczającą w czasie prohibicji w USA produkowany na terenie Meksyku alkohol, tequilę. Oczywiście jej losy znów się komplikują. Gdy jest w ciąży z Franco i zamierza wziąć z nim ślub, policja z Chicago robi nalot na hurtownię alkoholu. W starciu z policją ginie kilku „żołnierzy” Al Capone, a wśród nich Franco. Graziela znów musi uciekać, tym razem wraca w przebraniu mężczyzny do Meksyku, gdzie chce się nią zaopiekować Ramirez, którego jednak podejrzewa o kłamstwa i zdradę, i nasłanie na hurtownię amerykańskiej policji. Podczas szamotaniny z Ramirezem, gdy broni swej godności, wyciąga broń i strzela. W ucieczce z hotelu pomaga jej zdradzona przez Ramireza recepcjonistka. I takich nieoczekiwanych, zaskakujących historii jest masa. Serial ma dość żywą akcję, ale zbyt wiele w nim sentymentalizmu, uproszczeń, mielizn psychologicznych. Pokazana tam w tle historia, a działy się wtedy w Meksyku niezwykle ważne wydarzenia, przypomina raczej dekoracje teatralne niż prawdziwe fakty. Reżyserowi chodziło bardziej o ukazanie niecodziennych przemyśleń, romansów niż prawdziwej historii. Jest to historia opowiedziana na wesoło, choć nie brak w serialu także wątków dramatycznych. Ale oglądamy go razem z Halką dla rozrywki. Bo trudno traktować serial inaczej. Osobiście interesuje mnie obraz środowisk przestępczych i rewolucji meksykańskiej. Niestety, tego akurat jest niewiele, więcej miejsca bowiem zajmują przygody i kłopoty miłosne bohaterów. Skąd TVP wytrzasnęła ten serial, nie wiem.

cdn.

Miroslaw Osowski

POEZJA

Maria Borcz, *W tyglu*. Redakcja i wstęp: Czesław Sobkowiak. Ilustracje na okładce: Jadwiga Borcz-Przeworska. Zdjęcie autorki: z prywatnego archiwum. Opracowanie graficzne: Graf Media. Wydawca: Graf Media, Zielona Góra 2026, s. 92.

Eliza Segiet, *Człowiek w człowieku*. / *The Human Within the Human*. Tłumaczenie i edycja: Dorota Stępińska. Zdjęcie: Peter Karczewski. Słowo wstępne: Kinga Młynarska. Wydawca: Nakład autorski, bez miejsca i roku wydania, s. 156.

PROZA

Maria Magdalena Człapińska, *Światłość i ciemność*. Redakcja, słowo wstępne, projekt okładki i zdjęcie na I stronie okładki: Andrzej Dębowski. Zdjęcie autorki na IV stronie okładki: Joanna Bąk. Wydawnictwo Autorskie Andrzej Dębowski, Żelów 2026, s. 116.

Łucja Fice, *Kształt atomu. Wojna i pamięć*. Posłowie: Andrzej Dębowski. Projekt okładki: Dawid Duszka. Ilustracje na okładce: © Bogusław Legan. Redakcja: Magda Ceglarz, Danuta Gołąbek. Korekta: ERATO. DTP: JENA. Wydawca: Book Edit, Bez miejsca wydania 2026, s. 286.

NAUKA, SZTUKA KULTURA

Rudolf Eucken, *Wielcy myśliciele*. Przekład: Adam Zieleny. Opracowano na podstawie: Biblioteka Laureatów Nobla pod redakcją Stanisława Lema, Tom 39 i 40. Nakładem Wydawnictwa Polskiego z przedmową autora do wydania polskiego. Projekt okładki i projekt graficzny serii: Marcin Wojciechowski. Projekt serii: Grzegorz Cieplý. Wydawnictwo Vis-a-vis Etiudka spółka z o.o., Kraków 2026, s. 680.

Sławomir Koper, **Arek Biedrzycki**, *Polscy szpiedzy*. Projekt okładki i stron tytułowych: Paweł Panczakiewicz. Zdjęcie na okładce przedstawia Marka Zająca, narratora serialu *Polscy szpiedzy*, fot. Jacek Herok. Redaktor merytoryczny: Witold Grzechnik. Redaktort prowadzący: Zofia Gawryś. Korekta: Bogusław Jędrasik, Grażyna Cwietkow-Górlana. Wydawnictwo Bellona, Warszawa 2018, s. 310.

Artur Nowak, **Stanisław Obirek**, *Skandale Watykanu. Władza, sekrety i upadek papieskiego dworu*. Projekt okładki: Ilona Gostyńska-Rymkiewicz. Zdjęcie na okładce: Mr.PNG/

Adobe Stock. Redaktor prowadzący: Michał Nalewski. Redakcja: Renata Bubrowiecka. Korekta: Katarzyna Kusojć, Bożena Hulewicz. Wydawca: Prószyński Media Sp. z o.o., Warszawa 2026, s. 240.

Kazimiera Szczykutowicz, *Słowem po świat bez wad*. Projekt okładki i korekta: Magdalena Szczykutowicz. Wydawca: P.U. Compus, Starachowice 2026, s. 186.



I Konkurs Poetycki im. Małgorzaty Hillar

(Dokończenie ze strony 13)

Po uroczystej Gali laureaci oraz goście Konkursu zostali ugoszczeni obiadem w restauracji „U przyjaciół”, a po zakwaterowaniu w internacie wzięli udział w późnowieczornym zwiedzaniu Grodziska Owidz, gdzie pod opieką przewodniczki, Pani Teresy Tomczak, mogli się przenieść o tysiąc lat wstecz i poznać warunki codziennego życia pierwszych osadników Kociewia. To kolejna atrakcja oprócz Centrum Deyny. Jurorzy oraz kilkoro laureatów to nauczyciele, więc zaczęły się rodzić pomysły, że warto tu przyjechać ze szkolną wycieczką. Naprawdę wiele się dowiedziałem, a muszę dodać, że to ziemie, z których wywodzi się moja rodzina po mieczu.

Po zwiedzeniu Grodziska rozpoczęła się biesiada przy gitarze i domowych ogórkach kiszonych. Unosiły się nad zebranymi duchy Herberta, Urbankowskiego, Gąsiorowskiego, Grochowiaka. Mistrzów cytowano (wszak byli między nami też recytatorzy) i śpiewano. Ta atmosfera przypominała mi konkursy sprzed lat, gdy sam zaczynałem pisać, a każdy sukces był czymś niesamowitym. Całość skończyła się niedzielным spacerem do pomnika Mic-

kiewiczza, chyba jedynym na Pomorzu (co jest wstydem dla Trójmiasta). Zrobiliśmy pamiątkową fotkę przy pomniku (i tu ciekawostka) odsłoniętym w setną rocznicę śmierci Wieszcza w 1956 roku. Autorem monumetu jest toruński rzeźbiarz Ignacy Zelk. Można rzec, że skończyliśmy między dwoma jubileuszami. Duchowym i kamiennym. Atmosfera była bardzo rodzinna. Miałem wrażenie, jakby konkurs przygotował zegarmistrz a nie poeta. Zero chaosu, tylko precyzja i dokładność. Zazdroszczę Państwu Bruckim, którzy osobiście oglądali na scenie swoich utalentowanych synów.

Impreza ma jedną wadę. Następną edycja dopiero za rok.

Jerzy Fryckowski



Andrzej Dębowski

Miedzy nami cisza

Gdyby choć raz – dziś, teraz,
zatrzymać się w biegu,
zobaczyć twarz drugiego człowieka
nie jako przeszkodę, lecz lustro.

Zrobić coś dobrego –
nie dla poklasku,
nie dla spokoju sumienia,
ale z potrzeby serca,
z cichego buntu przeciw obojętności.

Zbliżyć się –
nie tylko gestem,
ale myślą, słowem, milczeniem,
które rozumie więcej niż krzyk.

A jednak –
przepaść rośnie.
Między słowami, między nami
rozciąga się cisza nie do przebycia.

Brakuje refleksji –
bo łatwiej przejść obok niż się zatrzymać.
Brakuje czasu –
choć tak wiele go marnujemy.
Brakuje nadziei –
bo nikt nie chce być pierwszy.

A przecież wystarczyłoby jedno dziś,
jedno spojrzenie,
jeden gest,
by ocalić od zapomnienia
to, co w nas najbardziej ludzkie.

Miroslaw G. Majewski

Buszujący w antykwariatach

(15)

*Strasza to rzecz umrzeć w morzu z pragnienia.
Musieciez waszą prawdę aż tak przesadać,
by nie gasila już nawet pragnienia.*

Fryderyk Nietzsche

Kiedy Nietzsche szlochał to jedna z najpopularniejszych i najbardziej cenionych powieści Irvina D. Yaloma – jak wspominałem w poprzednich refleksjach jest to amerykański psychiatra, psychoterapeuta egzystencjalny, autor wielu książek łączących fikcję z głęboką wiedzą psychologiczną, z jego płodnej twórczości wyluskałem dwie powieści wspomnianą „Kurację według Schopenhauera” i omawianą obecnie „Kiedy Nietzsche szlochał” Dlaczego akurat te? Powód jest jeden, od pewnego czasu interesuje się filozofią zarówno Schopenhauera jak i Nietzschego.

O czym jest książka?

Akcja dzieje się w 1882 roku w Wiedniu. To fikcyjne, ale bardzo przekonująco osadzone spotkanie dwóch wybitnych postaci: Josefa Breuera – rzeczywistego wiedeńskiego lekarza, mentora Zygmunta Freuda i jednego z pionierów psychoanalizy (to on leczył słynną pacjentkę „Annę O.”), Fryderyka Nietzschego – już wtedy uznawanego za jednego z najważniejszych i najbardziej kontrowersyjnych filozofów Europy.

Lou Andreas-Salomé (również postać historyczna) prosi Breuera o pomoc dla Nietzschego, który po burzliwym trójkacie miłosnym z nią i Paulem Rééem popada w głęboką rozpacz, migreny i myśli samobójcze. Breuer zgadza się leczyć go swoją nowatorską „terapią poprzez rozmowę” – pod warunkiem, że wszystko będzie wyglądało na zwykłe leczenie somatyczne.

Z czasem jednak role się odwracają. Obaj mężczyźni stają się dla siebie jednocześnie pacjentem i terapeutą. Ich długie, intensywne rozmowy stają się sercem książki.

Dlaczego warto o tym czytać?

Yalom stworzył tu coś, co sam nazywa „powieścią psychoterapeutyczną”. W przystępny, dramatyczny sposób pokazuje: początki psychoanalizy i psychoterapii, idee Nietzschego (wola mocy, wieczny powrót, śmierć Boga, tworzenie sensu życia), kluczowe tematy egzystencjalne: samotność, wolność, odpowiedzialność, lęk przed śmiercią, obsesję miłosną, siłę prawdziwej przyjaźni i wzajemnego wpływu dwóch niezwykłych umysłów. Dialogi są absolutnie mistrzowskie – mądre, dynamiczne, chwilami bolesne, a czasem

wręcz zabawne. Jeżeli chodzi o mnie to po tej książce inaczej patrzę na Nietzschego na samą psychoterapię i na siebie samego.

Można (a nawet trzeba) chwalić ją szczególnie za głębokie, ale nie nużące rozmowy filozoficzno-psychologiczne, świetne połączenie faktów historycznych z fikcją, to, że „leczy” i daje do myślenia.

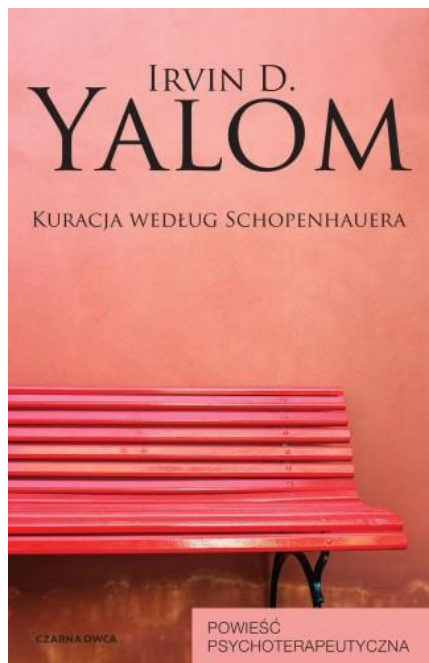
Yalom w bardzo subtelny sposób informuje czytelnika o upiorach antysemityzmu który wielu uczynom żydowskiego pochodzenia zabierał możliwość kariery na uczelni. Mamy rok 1882, za siedem lat w Austrii przyjdzie na świat niespełniony malarz, nie przyszedł on na świat w próżni, antysemityzm miał się dobrze i czekał na niego. Yalom ten wątek jedynie naznacza, jest on w głębokim mgle, ale warto o nim wspomnieć.

Można ponarzekać na wolniejszy początek i momentami dydaktyczny ton, ale uważam że to równie dobra książka jak „Kuracja według Schopenhauera”.

Nie dowiemy się dlaczego Nietzsche szlochał, możemy jedynie domyślać się, że Yalom odwoływał się do historii z koniem trojańskim. Myślę, że nie trzeba tłumaczyć co tam zaszło.

Jako ciekawostkę dodam że w 2007 roku powstała ekranizacja (reż. Pinchas Perry) z Armandem Assante jako Nietzschem i Benem Crossem jako Breuerem.

I na zakończenie, być może kiedyś ktoś napisze książkę o tym, jak Arthur Schopenhauer spotyka się z Fryderykiem Nietzschem. Trzeba by trochę pomajstrować przy datach urodzin, ale od czego jest literatura? By się działa...



Szukała

tego mężczyzny...

(Dokończenie ze strony 20)

Dziś, w murze budynku, tuż poniżej pierwszego piętra, dostrzega wnękę z wyrzeźbioną czaszką. Przypomina sobie: to jej własna głowa uderzała tu przed laty.

Może to i dobrze. W wyobraźni wciąż czuje tamtego mężczyznę – znajduje go zimnym i twardym. Tak musiało być. Tak musiało się stać, by to, co jest teraz, mogło nadejść. Lecz później, dużo później, gdy czas niby oczyścił rany, tamten mężczyzna odezwał się pierwszy – wtedy, gdy kłęzała, niemal dotykając dłońmi podłogi.

Nie była pewna, z którego pokoju dobiegał jego głos – z tego na niższym czy wyższym piętrze.

Z pewnością to nie wydarzyło się w izolacji. Raczej zajęło miejsce w głowie kobiety.

Trzymała tam teraz delikatność mężczyzny, obraz jego nienachalnej odwagi, których postanowiła nie wypuszczać.

Agnieszka Rykowska



Paweł Soroka

Wojna czy pokój

Miałem głęboki sen
śnił mi się pożar wielkiego miasta
zamilkł skowyt syren
otoczyły nas gęste dymy

wszystko zwęglone i spękanе
słońce zniknęło
śnił mi się zmierzch cywilizacji
w scenerii jądrowej zimy

cierpiałem targany refleksją
dlaczego to się stało?
kto doprowadził do końca
naszego gatunku?

obudzony pierwszym promieniem świtu
postanowiłem przeistoczyć szok w czynny
jednoczące nas we wspólnotę pokój...

3 sierpnia 2026

Gazeta Kulturalna

Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka

 Redaktor naczelny – **Andrzej Dębkowski**.

Współpraca: Joanna Friedrich, Andrzej Gnarowski, Stefan Jurkowski, Eugeniusz Kurzawa, Sławomir Łuczyński, Barbara Medajska, Janusz Orlikowski, prof. Maria Szyszkowska, Andrzej Walter, Tadeusz Zawadowski.

Redakcja nie zwraca niezamówionych materiałów. Zastrzega sobie prawo do skracania artykułów oraz zmian tytułów nadsyłanych tekstów bez uprzedniego powiadomienia autora. Skład: Andrzej Dębkowski. Druk: „TAGRAF”, 98-113 Buczek, Bachorzyn 13, tel. (043) 677-41-56.

Wydawca i redakcja: DOM KULTURY 97-425 ZELÓW, ul. Kościuszki 74, tel. (44) 634 10 98; 504 63 05 43; e-mail: andrzejdebkowski@wp.pl www.gazetakulturalna.zelow.pl